Nr. 47. POZNAŃ — KATOWICE — KRAKÓW. Rok V.
Niedziela, dnia 24-go Listopada 1901 r.

PRACA
Tygodnik Ilustrowany

Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Sprawa Wrzesińska.

17-ty listopada 1901.

Dnia 15-go listopada b. r. rozpoczął się w Gnieźnie proces przeciwko ojcom, matkom, i dzieciom z miasta Wrześni, oskarżonym o zbiegowisko publiczne, o obrazę władz i inne tym podobne przestępstwa, jakich się na dniu 20-tym maja b. r. spowodowani zaprowadzeniem nauki religii w języku niemieckim i wynikłą ztąd chłostą dzieci mieli dopuścić.

Więzienie kobiet za nauczanie drobnych dzieci języka polskiego, więzienie grożące chłopcom gimnazyalnym za uczenie się języka dziejów i literatury ojczystej, więzienie grożące młodzieży akademickiej za szerzenie oświaty między ludem i w końcu proces rozgrywający się obecnie w Gnieźnie, oto jak gdyby znaki przydrożne, któremi tyle dziś butna „kultura" pruska drogę swoją u nas znaczy.

W chwili, w której słowa niniejsze piszemy, nie wiadomy jeszcze wynik procesu, nie wiadomo jaki wyrok zapadnie, a jednak stawiamy proces ten na równi z tamtemi znamiennemi faktami, bo już sam w sobie, bez względu na wyrok taki lub owaki, jest on dość znamiennem świadectwem naszych dzisiejszych stosunków.

Jak tamte wyroki, jest i proces wrzesiński dowodem, że kultura zewnętrzna ufundowana choćby na całych wieżach złota, strzeżona choćby nieprzejrzanym dla oka lasem jeżących się bagnetów, mająca w odwodzie tysiące paszcz armatnich, nie jest prawdziwą cywilizacyą; przeciwnie jest ona urągowiskiem i wrogiem prawdziwej cywilizacyi, bo wierząc tylko w brutalną siłę, w prawo pięści, — budzi, hoduje najniższe, zwierzęce w człowieku i w społeczeństwach instynkta, a przytłumia wszystko co szlachetnego, boskiego w nich drzemie.

Nie potrzebujemy chyba prawdy tej obszernie dowodzić. Cóż świętszego na świecie nad język, którym mówi od lat tysiąca ośmnasto milionowy naród? Język taki to wytwór wiekowej pracy ducha narodu, wiecej — to objawienie się bożego ducha w ludzie, język taki to dar Boży. Cóż więc więcej brutalnego nad świadome i celowe tępienie takiego języka, takiego objawienia się ducha bożego? A otóż do tego celu, by wyniszczyć język nasz, dąży dzisiaj tak zwana pruska „kultura", a prawem jej jedynem garście złote, lasy bagnetów, paszcze luf armatnich i więzienia dla dzieci, wyrostków i niewiast.

„Kultura," która taki cel ma na oku, nie jest prawdziwą cywilizacyą, bo nie jest szerzeniem piękna i dobra wśród ludzi. Nigdy może rozdźwięk pomiędzy zewnętrzną „kulturą," dufną w siłę pięści, a głęboką cywilizacyą, będącą szlachetnością dusz i charakterów, nie był tak straszny, tak niewymownie bolesny, groźny, ale i złowróżbny zarazem.

Proces rozgrywający się w Gnieźnie, a właściwie wyprzedzające go i powodujące wypadki wrzesińskie mają w naszych oczach o wiele głębsze, rozleglejsze znaczenie, niż mu je przypisywać zwykła prasa, zwłaszcza niemiecka.

Wypadki wrzesińskie to nie zwykłe zbiegowisko uliczne, to nie

„Krawall“, jak piszą Niemcy; wypadki wrzesińskie to nawet i nie rozpaczliwy krok matek i ojców, występujących w obronie drobnych dzieci swoich, przeciwko krzywdzie, jaka im się na ciele i duszy dzieje, jak piszą zazwyczaj nasze gazety. W naszych oczach mają one o wiele ogólniejsze znaczenie.

Rzecz tu zupełnie obojętna, czy na ławie oskarżonych zasiadają dzisiaj Pawlicka, Korzeniewski, Jerzykiewicz, czy Stachowiak, czy kto inny; rzecz też obojętna wreszcie, czy na 25-ciu oskarżonych było dwóch czy trzech już poprzednio karanych lub nie (ogół, przeważna większość obwinionych, to ludzie, którym dotąd nic zarzucić nie mogła nawet tak cięta na Polaków prokuraturya pruska). I otóż ci ludzie osobiście nie grają tu roli, ja biorę wystąpienie ich jako wystąpienie zbiorowe i tem samem nieświadome jednostkom, które w niem brały udział. I dlatego jest ono dla mnie tak ogromnie znamiennem. Wystąpienie to, to protest instynktu polskiego przeciwko gwałtom, jakich u nas się dopuszczają, to samozachowawczy popęd ducha polskiego, jaki w nim się objawił. To dowód, że ten duch polski, tępiony w naszych dzielnicach od lat stu środkami z machiawelskiej kuźni, przecież jeszcze żyje, jeszcze się porusza, co więcej wzmógł się, spotężniał, bo przeniknął w najgłębsze warstwy ludu, pomiędzy ludzi od igły, kopyta, od wagi i miarki, pomiędzy szewców, kramarzy, krawców i rzeźników.

Kto ku słuchaniu ma uszy, niech słucha, co protest ten drobnego mieszczaństwa wrzesińskiego znaczy!

Chcieli nas połknąć przed rokiem — milion jeden — myśląc, że nas strawią; a teraz im trzy miliony w gardle stoją; trzy miliony a w nich i szlachty jeszcze rozbitki, co cało wyszli z pogromu, i inteligencya i mieszczaństwo mniej i więcej zasobne, i ludzie nowi od warsztatów, pługów i bron. W nich wszystkich ma dzisiaj siedlisko swoje duch narodu. Przeciwko tej potędze nie pomogą ani wory złote, ani bagnety, ni armaty, potęgi tej nie zastraszą ani wyroki ani więzienia.

Ma ona w sobie niespożytą moc wiecznego odrodzenia się, wobec niej bezsilne będą wszystkie wymysły „kulturnych“ materyalnie Prus, bezsilne i w niwecz się obrócą. Biada tym głuchym, którzy tego nie słyszą!

Takie procesy i wyroki są dowodem bezsilności wobec nas; dla nas każdy taki wyrok, to znak zwycięztwa na szańcach naszych zatknięty!

Pan prokurator gnieźnieński mówił tam coś o jakiejś „partyi polskiej.“ Prokuratorze! tą partyą to cały naród polski; nie tylko te trzy miliony, które was dławią, ale i ci pod Wawelem, i tamci pod zamkiem królewskim w Warszawie.

Partyą polską to potęga ducha niepodzielnego, jaki w nas, ośmnastu milionach rośnie.

Wobec tej potęgi ducha, wobec tej „partyi“, cała wasza materyalna „kultura“ jest i będzie bezsilną.

My idziemy naprzód!

Vester.

Oskarżeni!

Piersi nam starczą za stalne zbroje,
Duch a odwaga: jeno to dwoje.
Lenartowicz.

Oskarżeni!... Stoją przed trybunałem w Gnieźnie jako winni i zuchwali, jako zbrodniarze i gwałtownicy, jako ci, którzy spokój publiczny narażają, a których ukarać trzeba...

Stoją cisi i spokojni... Na każdej twarzy znać jakąś dziwną pogodę, a ócz wejrzenie zdaje się niezamącone troską sumienia...

Oskarżeni!... a przecież czytamy przy każdem imieniu tych ludzi zgromadzonych razem: — „nie karany“ — „nie karana“ — „nie karana“.

Więc cóż się stało?... Ci biedni, ubodzy pracownicy z miasta Wrześni spełnili coś takiego, co splamiło ich cześć zacną, co powiodło przed trybunał sądu, który ma wielkie znamię na czole — *sprawiedliwość!?...*

Rodacy biedni! Dlaczegoż nie chylicie czoła z wstydu rumieńcem? Czemuż nie kryjecie ócz swych boleścią? Tyle pogody na waszem obliczu... i wy oskarżeni i przed wami i nad wami groza sądu?

Ta wielka sala sądowa wydaje się niby świątynia rozjaśniana blaskiem... Każde słowo brzmiące o ściany tych murów zdaje się dźwiękiem cichej a smętnej pieśni,.. a oni — oskarżeni — — jacyś zdają się bez winy i plamy, bez przestępstwa i trwogi...

Więc czemuż tu stoją?...

O co ich oskarżono?...

Wielce zawinili. — Nie pozwolili z serc dzieci swoich wydzierać najdroższych skarbów. Oto rozumiecie teraz, jaka zbrodnia? Bronili najświętszych i najdroższych. Nie rzucali się na niczyje dobro, nie chcieli obcej cząstki ani tyle, co kruszyna chleba, ani tyle, co kropla wody, tylko powiedzieli swoim dzieciom, ubożuchnym dzieciom, dzieciom nie strojnym ani w aksamity, ani w drogie szaty — — „macie mowę ojczystą, mowę polską, ona klejnotem i skarbem, ona życiem i szczęściem, nie dajcie jej sobie zabrać!“

Powiedzieli tak: — „Jesteście Polakami katolikami i religii nie wolno wam się uczyć po niemiecku, bo byście jej ani nie zrozumieli, ani nie zapamiętali, ani nie pokochali, gdyby wam do pamięci wpisywała się obcemi słowy“ — a za to — — teraz stoją oskarżeni i — czekają na wyrok.

Jakże o nich dziś daleko wieści płyną, jakże szepcą ich imiona matki swoim dzieciom — — —

Odwaga ducha, oto prawdziwie nasza broń, najlepsza i najsilniejsza obrona nasza.

Przyszedł rozkaz, a ubodzy rękodzielnicy i przemysłowcy miasta Wrześni powiedzieli: — nie ustąpimy!

Oskarżeni!...

Jeśli kto oskarżony, to winny, a więc i oni winni... a jak surowy trybunał sprawiedliwości powiada w akcie oskarżenia, oni zawinili przeciwko wielu paragrafom, bo język ojczysty był im skarbem drogim...

Pan inspektor z nauczycielami dzieci karał biciem za to, że nie odpowiadały na niemieckie pytania...

A wszakto wielka wina Polaków, iż mają serca w piersiach i na krzyk dzieci bitych, pragną spieszyć z pomocą... wszakto wielka wina Polaków, iż mają mowę ojczystą, narodową, piękną i drogą ich sercu, a wszak to wina sroga ludu przyłączonego do obcego plemienia, iż nie umie się stopić w ogniu prześladowań tak, jak się topi metal i łączy z drugim metalem pod wpływem płomieni.

Oskarżeni!... idzie wieść od ust do ust — od miasta do miasta, od dzielnicy do dzielnicy, a rodacy wszędzie witają ją w jednej myśli...

Oskarżeni!.., powtarzają dzienniki

numer za numerem, wyliczają imiona i nazwiska, a każde polskie serce goręcej bije — — —

Jakikolwiek wyrok zapadnie — żadna kara nie poniży, ani sromem nie zarumieni ich czoła... bo nie to jest hańbą, iż się jest oskarżonym, ale to — za co się jest oskarżonym....

Jeżeli ktoś zabiera drugim jasność słoneczną, gasi światło księżyca, tamuje bieg wód — głuszy wszystkie śpiewy ptasząt — depce kwiaty i zboża — cóżbyśmy rzekli? — Człowieku!... Ani tobie z tego korzyść, ani twoim w tem pomoc — czegoż chcesz?...

Cóż za korzyść tym, którzy biorą mowę rodzinną z ust dzieci, a wkładają w nie brzmienie obcych wyrazów?... Nie zgasi nikt słońca, nie stłumi śpiewów ptasząt, nie wstrzyma wód biegu, chociażby oskarżał miliony słowików i więził wszystkie potoki.

Rodacy!...

W piersiach naszych moc wiary i miłości, a gdy duch nie uśpiony, jesteśmy potęgą.... *Poznańczyk.*

Stronnictwo czy naród?

I rozwinął orzeł nasz wspaniałe skrzydła ponad dymiącym Ślązkiem Górnym i począł krążyć i krążyć, patrząc na bratnie swe rzesze u stóp swoich wzrokiem pytającym, czekającym... I ujrzeli go wszyscy. Silni, ufni i młodzi dłonie swe wyciągnęli ku niemu wołając: Bywaj, bywaj! Wtem wpadły między tłum zwinne postacie i rzuciły pętlice ku królewskiemu ptakowi, schwytali go i do klatki wepchnęli. Niebaczni nie pomną, że w klatce orzeł lotu oduczyć się może...

Widzieliśmy wszyscy to dziwne widowisko. — Wśród politycznych flecistów, skrzebiących mdłe i nudne melodye, zagrzmiała wreszcie harda trąbka hasłem wiosennem: *Bądźmy sobą!* Bądźmy *wreszcie* sobą! Przerażeni fleciści oburącz chwycili za flety i jak mogli najgłośniej zaflecili lukrowaną symfonią na temat: Lieb Centrum mein, magst ruhig sein! I nawet poza Ślązkiem zabrzmiało tu i owdzie echo: Magst ruhig sein! — Symfonią tę zagrała prasa górnośląska w znanem oświadczeniu, podpisanem pełnem nazwiskiem przez jej przedstawicieli. Orła zamknięto w klatce, a za godło uznano znowu pięść hrabiego Ballestrema, pragnącą Polaków „bić po pysku“.

— I cóż teraz? Kto głośniej nadal grać będzie: trąbka czy flety? A w rozstrzygającej chwili za dwa mniej więcej lata kto zagra głośniej?

— Źle, bardzo źle, że w tej tak wielkiej i pięknej sprawie wogóle zgrzyty słyszeć się dają. Są bowiem kwestye, gdzie odmiennych zapatrywań wprost być nie powinno. I niniejsza sprawa według mego zdania do tychże kwestyi należy.

Dziwiło mnie zawsze, że w dyskusyi nad poruszoną sprawą nigdy nie dotknięto względu zasadniczego, wprost jedynego, na podstawie którego tego rodzaju zagadnienia powinniśmy rozstrzygać.

Wzgląd ten ujmę w kształt pytania: Czem jest Koło polskie, co przedstawia Koło polskie bądź to sejmowe, bądź parlamentarne?

Konserwatywna grupa posłów w parlamencie przedstawia konserwatywne stronnictwo narodu niemieckiego, wolnomyślna stronnictwo wolnomyślne, a centrum reprezentuje katolickie stronnictwo niemieckiego narodu.

Stronnictwo polityczne jest to zbiorowisko ludzi złączonych tożsamością poglądów politycznych.

Czy Koło polskie jest także tylko reprezentantem takiego politycznego odłamu, takiego *stronnictwa*, czy czemś innem? Koło polskie nie nazywa się ani konserwatywnem, ani wolnem, ale „*polskiem*“. Nazywa się polskiem i *jest* „polskiem“ — to znaczy jest przedstawicielem *Polaków jako takich*, czyli przedstawicielem *narodu polskiego*. Źródłem frakcyi innych parlamentarnych są *stronnictwa*, źródłem Koła polskiego jest *naród* (stósownie odnosi się to także do sejmu).

Tutaj słyszę, jak wyrywa się sofista jakiś ze zdaniem: Przecież naród polski istnieje i poza rzeszą niemiecką! — Ale wykrzyknik ten nie zmienia w niczem naszego poglądu. Że dzielimy się na zabory, jest to moment czysto *zewnętrzny*, jest to przypadek historyczny. Ale, bądź cobądź, my Polacy należący do rzeszy niemieckiej jesteśmy *częścią narodu polskiego*, nie powstałą na mocy różności przekonań politycznych, ale *częścią narodu jako takiego* czyli *nie* stronnictwem, czyli *narodem*.

Co? Co? — Drugi sofista woła: Jak to? Toż przeprowadzamy posłów swoich w ten sam sposób, jak stronnictwa niemieckie; posłowie nasi mają te same prawa i obowiązki, co wszyscy inni! — Masz słuszność, mości sofisto, zupełną słuszność; ale zastanów się nad tem, że to strona czysto *formalna*, że twory państwowe, takie jak parlament, tylko w ten mechaniczny, formalny sposób skonstruować można.

— Co? Jeszcze jeden? — Tak jeszcze jeden ze sceptycznym uśmiechem pomrukuje: Ależ przeczytajcie odnośny artykuł konstytucyi niemieckiej, że posłowie są „Vertreter des gesammten Volkes“ „przedstawicielami całego narodu„ czyli całej rzeszy niemieckiej. A więc niema przedstawiciela okręgu poznańskiego, niema przedstawiciela okręgu jakiegoś górnoślązkiego, a zatem niema też przedstawicieli narodu polskiego, który stanowi tylko część rzeszy niemieckiej. — I ty masz słuszność, sofisto trzeci. Ale wiedz, że zdanie owe niemieckiej konstytucyi znajduje się tylko na papierze, że rzeczywisty obraz parlamentarny przedstawia się zupełnie odmiennie i że przepis ów też tylko na papierze stać może. Jeden i ten sam poseł, będący według niego „przedstawicielem *całego* narodu“, a zatem tak samo agraryusza z „Ostelbien“, jak saskiego robotnika przemysłowego, musiałby przy głosowaniu tak często ze względu na agraryusza powiedzieć: nie! ze względu na owego robotnika zaś tak!, a mając jeden głos tylko, absolutnie tego uczynić nie może. A zatem koniecznie muszą pojedyńcze frakcye reprezentować po-

jedyncze stronnictwa narodu. A zresztą, papierowy sofisto trzeci, twierdzeniem swojem odmawiasz racyi bytu wszelkim stronnictwom i wpychasz nóż pod żebro matronie: centrum, pod której płaszczem fałdzistym przecież nadal zamierzasz śnić sny aksamitne...

— Tyle sofistom głowy, serca i papieru!

A teraz powracam do swojej tezy: Źródłem centrum jest *stronnictwo*, źródłem Koła Polskiego *naród*. Między owem stronictwem i narodem rozpoczął się niedawno spór o dziedzictwo mandatów poselskich. Chodzi o okręgi z *przeważnie polską ludnością*, a więc o okręgi, do których naród polski wyłączne ma prawo. Szczególne powody zdziałały, iż panowało tam stronnictwo niemieckie, nie naród polski. Dzisiaj ostatni poczyna się dopominać praw swoich. Lecz wśród niego odzywają się głosy każące nam dalej bez nich się obywać. *Naród i stronnictwo* narodu (niemieckiego) paktują. Naród zrzekać się ma nadal swego dziedzictwa — tak zadekretowała prasa górnoślązka. Naród, ów potężny, jednolity, a *naturalny* czynnik historyczny ma nadal iść w służbę niewdzięczną do czynnika dopiero *powstałego poglądami*, w służbę do partyi, frakcyi, *stronnictwa obcego.*

— Nie! Tak być nie powinno! Naród i stronnictwo są to rzeczy tak różne, że walka lub układy między niemi o *przyrodzone* dziedzictwo pierwszego są czemś nienaturalnem, czemś nieprawidłowem. Nienaturalnem było nasze dotychczasowe stanowisko na Górnym Ślązku. Dzisiaj o to chodzi, by stosunki ukształtowały się w sposób *naturze rzeczy odpowiadający. Narodowi nie wolno części swego ciała, części krwi swojej odstępować stronnictwu żadnemu.*

Jako naród, jako naród bądźmy sobą! A więc rozbrzmiewaj trąbko, rozbrzmiewaj gdzie ucho polskie dosłyszeć cię może, rozbrzmiewaj hasłem tem zdrowem i jędrnem:

Jako **naród** *bądźmy sobą!*

...I spadły między tłum zwinne postacie i rzuciły pętlice ku królewskiemu ptakowi, schwytali go i do klatki wepchnęli.....

Ordon.

Potrzeba programu!

Partyzancka walka codzienna z hakatą zaprząta uwagę ogółu polskiego do tego stopnia, że ogół ten zaczyna zapominać o kwestyach ważniejszych, rzeczywistych kwestyach bytu, a nawet kwestye te lekceważy. Co więcej, drobiazgowa ta walka spaczyła do tego stopnia naszą opinią publiczną, że ta niekiedy kwestyi ważnych wcale już nie zdaje się pojmować i rozumieć należycie, że przykłada do nich tę samą małoduszno-małostkową miarę, jaką mierzy codziennie rozmaite objawy i wypadki z nieprzebranego morza szykan wszelkiego rodzaju, czyli tak zwanego systemu kłócia szpilkami. Pokazało się to dobitnie na poruszonej przez nas sprawie zupełnego odzyskania Ślązka. Sprawa ta chyba niezmiernie ważna, prawdziwie żywotna, bo równa się ocaleniu miliona dusz polskich no i całkowitemu zjednoczeniu żywiołu polskiego w granicach monarchii pruskiej. A jednak — „główne“ organa prasy naszej traktowały ją i zbyły z iście partykularystycznego punktu widzenia. Podobnie stało się z głosem posła dra Dziembowskiego w sprawie taktyki naszego Koła parlamentarnego. Pojawił się on w petersburskim „Kraju“ we formie interwiewu, rozmowy między panem Dziembowskim a korespondentem „Kraju“, a dotyczył kwestyi dla całego ogółu wręcz piekącej. Spodziewać się więc należało, że wywoła w prasie naszej bardzo poważną dyskusyą, że prasa ta zwróci nań uwagę przynajmniej w tak dobitny sposób, jak to uczyniła krakowska „Nowa Reforma.“

Tymczasem — co się stało? Oto — „Dziennik Poznański“ zbył go zupełnie milczeniem, „Kur. Pozn.“ zaś zamieścił w całej rozciągłości, ale bez własnych uwag. I potrzeba było dopiero wystąpienia innego posła — niestety także z motywów drugorzędnych — małostkowych — ażeby dyskusya weszła na właściwe tory. A przytem właśnie wymknęła się sławetnemu „Dziennikowi Pozn.“ uwaga, która dosadnio charakteryzuje straszne zabagnienie naszej opinii publicznej. Zamieszczając oto głos owego drugiego posła zaznacza „Dziennik Pozn.“ — że „*niechętnie* otwiera w tej sprawie dyskusyą i *nie jego będzie wina, jeżeli z niej wynikną nieprzyjemne następstwa.*“

Tak się oto u nas traktuje sprawy publiczne! O jakie bo „nieprzyjemne następstwa“ chodzić może? Wobec rządu otwarta publiczna dyskusya nad głosem pana Dziembowskiego nic zgoła zaszkodzić nam nie może, ani na żadne narazić nas nieprzyjemności; więc „Dziennik Pozn.“ ma widocznie tylko takie „nieprzyjemne następstwa“ na oku — że z powodu dyskusyi na ten temat jeden poseł może się *osobiście* pogniewać na drugiego, lub jeden akcyonaryusz „Dziennika P.“ poróżni się z innym i t. d. I dla takich to przyczyn i względów „Dziennik“ stara się wprost zapobiedz wymianie zdań, która może mieć dla społeczeństwa naszego niezmierne znaczenie.

„Praca“ z takiemi parafialnemi względami i względzikami nigdy się nie liczyła i nie liczy — jej bowiem przedewszystkiem chodzi o dobro publiczne. Otwarcie tedy i dziś wypowiada swe zdanie, bez względu na to, czy to się jednostkom podobać będzie, czy nie.

Zanim jednakże uczynimy to — musimy zapoznać najprzód Czytelników naszych z wywodami posła dra Dziembowskiego. Powiedział on w rzeczonej rozmowie mniej więcej, co następuje:

„Koło polskie w parlamencie *programu politycznego wcale nie posiada.* Podzielone, to jest rozmaite przekonania polityczne poszczególnych członków „Koła“ sprawiają, że występowanie ich staje się dorywczem, bez obmyślanego z góry

planu, a rozpanoszona po upadku hr. Capriviego heca antipolska, wśród której trudno myśleć o zwycięztwie, wytwarza pewne zniechęcenie do prac parlamentarnych. Obecnie obrona praw i interesów ludności polskiej spoczywa wyłącznie niemal w rękach *sejmowego* Koła polskiego. Tymczasem skład sejmu, gdzie większość rządowa jest tak znaczna, a sympatye dla nas tak małe, gdzie urzędnicy administracyjni pierwsze grywają skrzypce, nie nadaje się do tego, aby traktować naszą sprawę z szerszego punktu widzenia. Dlatego lepiej więc przenieść główną akcyę obronną do parlamentu, w którym wśród silnych stronnictw opozycyjnych łatwiej uzyskać poparcie. Obradami parlamentu zajmuje się przytem cała Europa, dlatego też posłowie nasi w parlamencie tak przemawiać winni, ażeby słyszała i słuchała ich cała Europa. Przytem zaś *należy porzucić* dotychczasowy sposób obrony, polegający jedynie na *odpieraniu* zarzutów i ataków rządowych, a przejść do *akcyi zaczepnej, głośno oskarżać rząd pruski i niemiecki przed całym światem, że zastosowuje względem nas system nie zgadzający się z sprawiedliwością i pojęciami cywilizowanego świata.*"

Na to zapatrywanie szan. posła — jak to już zaznaczyliśmy w poprzednim numerze, godzimy się najzupełniej — a zapewne godzi się na nie także ogromna większość społeczeństwa naszego.

Nie podobały się one jedynie korespondentowi „Dziennika Pozn." w sejmowem ,,Kole" polskiem, także posłowi, piszącemu pod literą S. Odpowiedział tedy w ,,Dzienniku Pozn." w tonie nieco podrażnionym, że się na poglądy i wywody posła Dziembowskiego nie godzi, że nie ,,Koło" parlamentarne, lecz ,,Koło" *sejmowe* jest główną armią naszą w walce z rządem i systemem germanizacyjnym i armia ta na zawsze pozostać powinna, gdyż sprawy polskie wprost należą przed forum sejmowe, a nie parlamentarne. Poseł S. godzi się tedy conajwyżej na *wspólne narady* obu Kół poselskich: na wspólne porozumiewanie się w sprawach ważniejszych, ale nie na to, ażeby kierownictwo obrony narodowej przeszło z rąk Koła sejmowego w ręce Koła parlamentarnego.

Na to znów zabrał głos w ,,Kuryerze Poznańskim" poseł pan Dziembowski i w przypuszczeniu, że kolega sejmowy S. nie dobrze go zrozumiał, tak bliżej objaśnił wywody swe, wypowiedziane wobec korespondenta petersburskiego ,,Kraju:"

„Koło sejmowe ma i będzie miało w przyszłości zadanie walki *z praktykami administracyjnemi w Prusach*, określone wyraźnie konstytucyjną kompetencyą. W tych granicach koledzy sejmowi walczyć muszą, choć bez nadziei uzyskania nawet moralnego sukcesu.

„Tych spraw w parlamencie poruszać nie można, gdyż konstytucya i regulamin nie pozwala tam na to. Ale hic est locus, *aby traktować na szerokiej podstawie kwestyą polską.* Przed kilkunastu laty nie było o tem mowy. Sprawa nasza była kwestyą *prowincyonalną*, specyalnie rzeczą Prus, obracała się w ciasnych granicach walki o prawa gwarantowane traktatami, które nam usuwano powoli. „Es giebt keine polnische Frage," — mawiał żelazny kanclerz — dopiero rozwój idei narodowościowej u nas i agitacye hakatystów, zwracające uwagę na „polnische Gefahr", przyczyniły się do tego, iż dziś kwestya polska stała się aktualną, iż się nią zajmują nie tylko Prusy, *ale całe Niemcy, a nawet Europa. — Nadchodzi chwila szerszej akcyi parlamentarnej, widzieć to musi każdy, kto pilnie bada rozwój naszych stosunków. Byłoby błędem nie do darowania, gdyby nasza reprezentacya nie słyszała, która godzina bije w zegarze politycznym,* nie stanęła na posterunku w danej chwili, aby podnieść rzuconą nam przez niemiecki prąd szowinistyczny rękawicę, tem chętniej, iż to jemu właśnie mamy wiele do zawdzięczenia, bo on przyczynił się najwięcej do stworzenia „kwestyi polskiej".

„Jestem przekonany, że prezesi Kół naszych, którzy bacznie śledzą bieg wypadków, postarają się o to, *aby zebrać członków na poważne narady; wymaga tego nasza sprawa, a coraz energiczniej żąda opinia publiczna w kraju.*"

Nie potrzebujemy chyba zaręczać, że i na te poglądy czcigodnego posła najzupełniej się godzimy, a mamy nadzieję, że przyklaśnie im także większość społeczeństwa naszego. Czas rzeczywiście najwyższy wyprowadzić sprawę naszą z bagna prowincyonalnego partykularyzmu i wznieść ją na wyżyny, na których jedynie bezpiecznie ostać się może. Z tego też zasadniczego stanowiska podjęliśmy naszą akcyą ślązką, a wątpić chyba nie możemy, że poseł, który sprawę naszą uważa za *europejską* i pragnie, aby ją traktowano jako taką — nie może podzielać zdania, iż każda dzielnica polska — o sobie tylko radzić powinna, lecz że wszystkie powinny stanowić jedno jednolite ciało narodowe i polityczne.

Wiemy — że to nasze zdanie podzielają tysiące i setki tysięcy w społeczeństwie naszem, podziela ogromna jego większość. Dlaczego atoli mimo to napotyka zarówno nasza akcya ślązka, jak i chwalebna myśl posła dra. Dziembowskiego na opór, na opozycyą? Ot dlatego jedynie, że — jak to już na wstępie zaznaczyliśmy — opinia nasza publiczna zeszła na manowce, skarłowaciała w ciągłej walce z hakatą i drobnemi szykanami. Pod tym względem gwałtem potrzeba nam reformy — bo inaczej zmarniejemy wraz z tą naszą opinią. Jakże bowiem możemy marzyć o ostatecznem zwycięztwie sprawy naszej, jeżeli każda myśl szersza, śmielsza — wywołuje zaraz dreszcze niepokoju, u kierowników naszej opinii, jeźli dla nich łaskawy uśmiech stronnictwa centrum więcej znaczy, niż odzyskanie milionów serc i dusz polskich? Nigdy jeszcze nie zwyciężał ten, który się bał wroga, lecz zwycięża zwykle ten, który chociaż słabszy śmiało wrogom spogląda w oczy i brak siły nagradza odwagą, zręcznością i wy

zyskaniem wszelkich swoich zasobów.

Już z tej przyczyny — sądzimy, że przeniesienie punktu ciężkości naszej akcyi parlamentarnej z sejmu do parlamentu, a przedewszystkiem przejście z akcyi obronnej do zaczepnej — bardzo dobry odniesie skutek. Wtedy to nieraz upokarzające zdarzenia, spadną do poziomu sztuczek osobistych i przestaną nas kompromitować w oczach własnych, no i w oczach niemieckich. Dziś zaś są one jakoby wyrazem naszej polityki — naszych dążności.

Trudno jednakże przypuścić, iż właśnie ci ludzie, którzy dotychczas kierują obroną naszą w sposób tak partykularystyczny, małoduszny, dobrowolnie zrzekną się roli, którą zagarnęli jedynie dzięki rozbicia naszej opinii publicznej. Potrzeba więc, ażeby ogół *jaknajenergiczniej poparł wywody i poglądy posłów p. Dziembowskiego*, potrzeba przedewszystkiem, ażeby żądał i domagał się coraz energiczniej ścisłego i jasnego programu naszej akcyi parlamentarnej i *politycznej wogóle*. Bez takiego programu, bez skrystalizowanych myśli wytycznych sprawa nasza zawsze zdana będzie na łaskę i widzimisię parafialnych wielkości naszych — zawsze chromać będzie lub brnąć w bagnie tchórzostwa i niedołęztwa. Program ten musi zaś z konieczności obejmować także *sprawę ślązką* — a może ją rozstrzygnąć tylko tak, jak my to pojmujemy. W przeciwnym razie nie spełniał by swego zadania i byłby tylko programem cząstkowym, partykularystycznym, dającym wolne pole do wszelkich eksperymentów.... jednostkom. Powinien zaś stać się *prawem* dla *całego* społeczeństwa — prawem silniejszego od woli... nawet redaktorów ślązkich i niektórych naszych posłów, prawem, któremu wszyscy poddać się winni.

Taki program mogłyby nam dać nasze Koła sejmowe i parlamentarne — a przynajmniej *projekt* do programu. Ostateczną decyzyą należałoby jednakże pozostawić... woli ogółu — zwołanemu na ten cel *wiecowi*. *Górnoślązak.*

Adresujmy nadal po polsku.

Sprawa poczty nie nową jest u nas; datuje się już prawie od roku, a obecnie nie ma dnia prawie, w którym nie moglibyśmy zapisać nowych objawów „hakatyzmu pocztowego,“ nowych krzyczących wypadków nadużywania władzy, jaką sobie poczta wobec nas przypisuje. Nie piszemy więc o żadnem nowem zjawisku, lecz o rzeczy starej, która przecież dlatego, że jest starą, wcale się nie starzeje, z porządku dziennego u nas nie schodzi, przeciwnie nabiera jeszcze w oczach naszych z dniem każdym zasadniczego znaczenia i zasługuje na to, by ją raz wraz poruszać i stanowisko, jakie w niej zająć trzeba, przypominać.

Uprzytomnijmy sobie narodziny i nędzne odchowanie tego poronionego cudaka, którego mianem „hakatyzmu pocztowego“ ochrzcono.

Mniejwięcej rok temu pierwsze bóle poczęły zapowiadać zbliżające się jego porodzenie. Tam i owdzie naraz poczta nie odstawiała regularnie listów z polskiemi adresami, albo nie chciała ich wcale przyjmować, a zwolna, zwolna wypadki te powtarzały się coraz częściej, występowały coraz jawniej, tak że w końcu posłowie nasi, powołani praw naszych obrońcy, w parlamencie rzecz tę poruszyli żądając wyjaśnienia i usunięcia tych nadużyć. Ówczesny nadsekretarz poczty, pruska ekscelencya von Podbielsky (Panie świeć nad duszami jego polskich przodków!) z wielkiem oburzeniem odparł te napaści i bezbrawne żądania Polaków, w końcu oświadczył jednak, że *celem ułatwienia (!)* ruchu pocztowego i dla wygody publiczności polskiej ustanowione będą w Poznaniu i w Bydgoszczy biura tłumacze, w których adresy zgoła poczcie niezrozumiałe zaopatrywać będą w odnośne niemieckie dopiski.

Zdawało się przeto, iż poczta w osobie pana v. Podbielsky'ego zrozumiała nieprawość dróg, po których stąpać poczęła, i że jak każdy uczciwy człowiek skłonny do naprawy, gotowa z dróg tych nawrócić. Tak myśmy rozumieli znaczenie owych biur tłumaczych i co dziwniejsze tak samo rozumieli je Prusacy sami, którzy przecież prędzej od nas mogli byli wywęszyć w tem pruski wybieg.

Na razie jednak i oni dali sobie oczy zamydlić i wylali na pana von Podbielsky'ego całą powódź ostrych napaści za te olbrzymie ustępstwa, jakie nam rzekomo uczynił.

Niebaczni! zbyt szybko mieli się przekonać jak bardzo wobec p. v. Podb. zawinili, posądzając go, że się w nim polska krew odezwała. Toż to był tylko podstęp! Te biura nie były i nie są wcale po to, by nam polskim obywatelom ułatwieniem służyły, ale, jak tego mamy niezbite dowody, są one po to, by ścigały każdy polski adres na liście, zatrzymywały list każdy z polskim adresem 5 (!) dni na poczcie, są więc tylko utrudzeniem i szykaną stworzoną dla polskiej ludności. Dowodów szczegółowych chyba na to nie potrzeba — każdy z nas ma po kilka kopert w kieszeni, na których zła wola poczty zbyt wyraźną, bo na nich adres polski obok *najwyraźniejszego niemieckiego*, a przecież poszły one raz jeszcze do tłumaczenia.

Nie będę wyliczał szczegółowych przykrości, utrudzeń, szkód i strat, na jakie wskutek tego jesteśmy narażeni; litania zbyt długa, każdy z nas zna ją zbyt dobrze. Warto jednak podkreślić stanowisko, jakie wobec tego stanu rzeczy zająć nam koniecznie trzeba.

Z góry wiemy, że sprawiedliwości my dzisiaj w tej sprawie nie uzyskamy; pamiętni słów Bismarka, że przysięgi królewskie nie są warte złamanego szeląga, nie liczymy się dzisiaj zgoła z tem, że nam królowie pruscy przyrzekali: „język wasz ma być używany we wszystkich urzędach.“ Ile w tem prawdy przeszłość i chwila dzisiejsza nas uczy.

Nie przywięzujemy też zbytecznego znaczenia wystąpieniu Koła polskiego we Wiedniu w obronie praw naszych i praw austryackich poddanych. Kto deptać może bezkarnie prawa własnych współobywateli, będzie deptał tem bardziej prawa obcych. Radę więc i pomoc możemy znaleść i dać my sami sobie jedynie.

Hakatyści pocztowi w śmiesznej swej nienawiści do polskich adresów zdają się przypuszczać, że kreśląc wyrazy polskie na kopertach listowych, wykreślą i Polskę z Europy. Myśmy jeszcze tak zupełnie rozumu nie utracili i wiemy, że przyszłość i byt Polski tak są pewne, że jej żadne zakusy hakatystów, a cóż dopiero pocztowych nie powstrzymają; my wiemy, „że zginą grzeszne i ludy i światy, lecz *Polska nie zginie.*“ Więc też z tą sprawą hakatyzmu pocztowego nie łączymy wcale, tak jak oni oślepli, sprawy bytu Polski i z tak wielkiego, wysokiego stanowiska zgoła jej nie oceniamy. A jednak ma ona dla nas ważne i to podwójne znaczenie:

Po pierwsze: *my mamy prawo pisać po naszemu,* a podły ten kto z prawa swego nie korzysta i dobrowolnie go się wyrzeka, podły i zasługuje na to, by go z prawa wyzuto. My zaś chcemy w pełni używać praw swych i nie odstąpimy od tego stanowiska ani na krok jeden.

Po drugie: Godność nasza tego wy

maga, by wytrwać przy raz powziętym zamiarze. Poczta dobrze wie, że odnośnego reskryptu, którym by zakazała polskich adresów wydać nie może, bo by nim nic nie wskórała i ośmieszyła się tylko wobec nas i wobec obcych. Dlatego spekuluje na naszą dobrotliwość, na brak wytrwałości i oporu u nas, myśląc, że wiecznemi szykanami przecież nas do adresowania po niemiecku wzdroży. Otóż nie! trzymajcie wy listy nasze po 5 dni i dłużej, my będziemy pisywali jak najmniej, ale adresowali w domu swoim, *do swoich po swojemu.*

Zgiąć ani złamać nam się tu nie wolno! Nie ustępujmy lada zachciankom pocztowym i jedno tylko wolno nam znać hasło: *Adresujmy nadal po polsku!*

To jest jedynie możliwe stanowisko, jakie uczciwy, szanujący się Polak w sprawie tej zająć i na którem niewzruszenie wytrwać powinien.

Sarmata.

Bez ideałów.

„Lud ślązki nie jest jeszcze do tego stopnia narodowo odrodzonym i uświadomionym, iżby mógł porwać się do walki z Centrum“ — powiedziano w oświadczeniu górnoślązkiej prasy polskiej przeciwko „Pobudce“. Braknie przytem rzekomo — zdaniem tejże prasy — rodzinnej ślązkiej inteligencyi polskiej, któraby w danym razie stanąć mogła na czele polskiej organizacyi ludu. W ten sam punkt uderza teraz znów „Gazeta Opolska“, uniewinniając się wobec zarzutów — jakiemi obsypały ją formalnie polskie pisma w Księstwie, w Galicyi i w Kongresówce z powodu jej dziwnej uległości dla „Katolika“. Skarżą się przytem, że tak trudno dochować się rodzinnej polskiej inteligencyi na Ślązku, gdyż nawet ta młodzież ślązka, która w szkołach, a zwłaszcza na uniwersytecie okazuje ducha polskiego, później, gdy dobije się stanowisk samodzielnych chowa się w kąt i nie daje znaku życia o sobie.

Niestety — tak jest rzeczywiście, — jak „Gazeta Opolska“ pisze. Ogromna większość młodzieży ślązkiej w późniejszem życiu znów przepada dla narodowości polskiej; albo tonie w morzu niemczyzny, albo też zupełnie obojętnieje dla sprawy polskiej. Smutny to objaw, ale któż temu winien?

Oto bynajmniej nie ta młodzież, lecz ci, którzy powinni ją kształcić na dobrych polskich obywateli, podtrzymywać w jej sercach zapał dla polskości i celów narodowych — a świętego obowiązku tego *nie wypełniają!* Winna przedewszystkiem prasa ślązka, winni jej kierownicy, czyli polscy redaktorowie na Ślązku!

Wypowiadamy to z całą świadomością mieszczącego się w tem twierdzeniu ciężkiego oskarżenia i ani słówka z niego cofnąć lub odjąć nie możemy.

Nie braknie przecież dowodów, że ślązka młodzież polska garnie się ochotnie pod sztandary polskie, że pragnie służyć sprawie polskiej. Iluż to akademików polskich ze Ślązka krzewiło dzielnie ducha polskiego w rodzinnych swych wioskach i powiatach — nie zważając bynajmniej na to, że narażają się przez to rządowi i potężnemu duchowieństwu niemieckiemu; iluż to było doskonałymi agitatorami w walce wyborczej przeciwko niesympatycznym kandydatom centrowym, iluż to rokowało najpiękniejsze nadzieje na przyszłość? Tymczasem — zamiast wyzyskać, zużyć ten szlachetny zapał dla sprawy narodowej — panowie redaktorzy pism ślązkich — przedewszystkiem zaś panowie redaktorzy „Katolika“ — jakby *umyślnie* młódź gorącą odpychali od działania, zrażali swym chłodem, swą obojętnością, swą serwilistyczną uległością dla Centrum. Co gorsza! Niech tylko który z tej młodzieży odważył się objawiać pewne niezadowolenie z gnuśności „Katolika“ lub występować samodzielnie — zaraz go zwalczano jako buntownika, szkodliwego dla sprawy polskiej.

Toć dzisiejsza walka „Katolika“ z „Pracą“ to nie pierwszy tego rodzaju objaw na Ślązku. Kubek w kubek tak samo zwalczał „Katolik“ d-ra Józefa Rostka w Raciborzu, a więc rodowitego Górnoślązaka, reprezentanta polskiej inteligencyi ślązkiej, a zwalczał dlatego, że dr. Rostek śmiał żądać *narodowej* polityki i rychłego wyswobodzenia Ślązka z pod władzy niemieckiego stronnictwa.

Jakże wogóle, panowie kierownicy prasy śląskiej — możecie żądać, ażeby młodzież śląska pozostawała wierną ideałom polskim, kiedy jej sami ideały te odbieracie? Dziwicie się, że wielu z młodzieży tej ginie znów dla sprawy polskiej, że tonie w morzu niemczyzny, a przecie sami ich w toń tę wpychacie, wołając: w kąt z polskością — Ślązk i nadal pozostanie wiernym — niemieckiemu stronnictwu. Pozostać Polakiem — to dla wielu z młodzieży ślązkiej znaczy to samo, co ofiara, poświęcenie — bo zamyka jej drogę do najrozmaitszych korzystnych i donośnych stanowisk. A młodzież polska na Ślązku nie jest bogatą w ziemskie dobra, więc też ofiara to dla niej podwójna. Dla dobra sprawy narodowej, dla ideałów narodowych wolno żądać i najcięższych ofiar — i chętnie się też ofiary ponosi. Nie wątpimy też — bo zresztą i na to nie braknie dowodów — że młodzież polska na Ślązku nie cofa się przed ofiarami i poświęceniem, *jeżeli tylko wie, że poświęcenie przyniesie korzyść sprawie polskiej. A tego właśnie przeświadczenia wy, panowie redaktorowie ślązcy — młodzieży polskiej nie dajecie!* Żądacie od niej, aby była polską i polską pozostała — ale naco i poco? Oto na to, aby wbrew swym uczuciom polskim popierała wrogie nam stronnictwa, aby głosowała na takich... Ballestremów i innych, największych wrogów odrodzenia Ślązka — czyli innemi słowy, aby była *pognojem niemczyzny.* A potem się dziwicie, że dla takich celów — młodzież nie chce poświęcać swej materyalnej egzystencyi. A zresztą „Katolik“ aż nadto często powtarza tej młodzieży: przedewszystkiem chleb — a potem dopiero ideały. Jaki posiew — taki plon...

Charakter młodzieży wyrabia się i krystalizuje jedynie w *walce.* Gnuśność spacza go i krzywi. Młodzież ślązka *pragnie walki o ideały polskie,* i jesteśmy święcie przekonani — w walce tej przed żadnem nie cofnie się poświęceniem, przed żadną ofiarą. Wy tymczasem zamiast prowadzić ją do walki o ideały, zaprawiać ją w walce tej do służby obywatelskiej, hartować jej ducha — całem braniem waszem zadajecie kłam wszelkim ideałom, wtłaczacie młodzież gwałtem w pęta i okowy *samolubnej* waszej polityki nienarodowej — pozbawiacie ją ideałów. Gdzież to młodzież ma nabrać doświadczenia obywatelskiego, czyż dajecie jej sposobność do obywatelskiej pracy? Bynajmniej — żądacie od niej, aby służyła *niemieckiemu* Centrum. I jakże się potem dziwić możecie, że młodzież, idąc za waszą radą — *centrową* się staje.

Nie panowie! Kto sam ideałów nie ma, nie może ich innym zaszczepiać; kto nie prowadzi polityki polskiej, ani społeczeństwa swego nie wychowuje w narodowym duchu, nie może żądać, ażeby w społeczeństwie tem rodziła się polska inteligencya. Że jej niema dotychczas, *to wasza jedynie wina.* Ale rozpocznijcie walkę o ideały, powołujcie lud ślązki pod sztandary polskie — a rodzima inteligencya w lot się znajdzie.

...A może — nie pragniecie tego?

Raciborzanin.

Nowa zdrada stronnictwa Centrum.

Ironia losu zrządziła, że właśnie w chwili, w której „Katolik“ bytomski wystąpił w obronie Centrum — wydarzył się w *Bytomiu* wypadek, który świetnie ilustruje uczciwość ślązkich niemieckich katolików, t. j. tamtejszych centrowców, tych „sprzymierzeńców“ Katolikowych. Lecz posłuchajmy — jak to „Katolik“ sam opisuje to zajście:

„Przy wyborach *do rady miejskiej* w środę, 13 listopada r. b., w pierwszym okręgu zostali wybrani pp. Krahl i Kosmalla. Są to kandydaci,postawieni *wbrew uchwały zebrania wyborców katolickich* przed tygodniem przez nauczycieli, urzędników i zwolenników swoich, którzy pragnęli ich podnieść na krzesło radnych ponownie lub po raz pierwszy.

„Wiadomo, że zebranie postawiło pp. dr. Spyrę i Bendkowskiego. *Komitet wyborczy niemieckiego centrowego Kasyna* powinien był się tych kandydatów trzymać, tymczasem *złamał uchwałę, zdradził i zawiódł zaufanie ogółu wyborców polskich w nim pokładane.* Przewodnicy zebrania co prawda nie brali w łamaniu uchwały udziału, ale pokazało się, że swej miejscowej partyi nie mają w ręku. *Zły przykład dawali przytem księża z probostwa Św. Trójcy, którzy z ks. kuratusem Włoczką na czele brali udział w łamaniu uchwały, o ile mieli prawo głosowania.* Do czego niedotrzymanie uchwał prowadzi, chyba sami wiedzieć powinni.

„Przy szalonej agitacyi wszystkich nauczycieli i urzędników za pp. Krahlem i Kosmallą, przy nacisku, jaki zawsze bywa przy jawnych wyborach, gdyż w tym okręgu nawet pograniczny komisarz Mädler spisywał głosy wyborców, *przy braku doskonałej organizacyi i agitacyi z strony naszej*, nie można się dziwić, że nasi kandydaci małą liczbę głosów otrzymali. Wielu najdzielniejszych robotników musiało głosować na swego nadsztygara Schweinichena i byłego urzędnika kolejowego Krügera, gdyż taki był nakaz pod grozą utraty pracy, o którą przecież trudno w teraźniejszych ciężkich czasach. Otrzymali głosów: Krahl 475, Kosmalla 478, Szweinichen 101, Krüger 100, dr. *Spyra* 31, *Bendkowski* 27. W drugim obwodzie: Friemel 308, Zawadzki 312, miernik Schmiedicke 257, sztygar Bahr 268.

W trzecim okręgu dr. Kozioł 307, inżynier Proske 53.

„*Katolicka niemiecka* partya zwyciężyła w wszystkich trzech okręgach.

„Do wyborów powrócimy jeszcze przy sposobności. Pokazało się, że przy jawnych wyborach zwycięztwo nasze jest bardzo trudne.“

Tak oto odwdzięczyło się Centrum bytomskie „Katolikowi“ za jego wierność i uległość... Komentarze tu zbyteczne! Niemcy katolicy zwyciężyli, a lud polski znów... powędrował w kąt.

„Katolik“ niesłusznie przytem zasłania tę porażkę swoją... *jawnością wyborów.* Tak źle znów nie jest! Gdyby tylko *wszyscy polscy* robotnicy głosowali solidarnie na *swoich,* chlebodawcy niemieccy nie mogliby się mścić na nich, gdyż wogóle bez polskich robotników *obyć się nie mogą.* Jeźli lud ślązki stale kierować się będzie jedynie względami na swą zależność od chlebodawców, w tajm razie niech się nie dziwi, że ci coraz bardziej pomiatać nim będą. Gazety zaś, które lud do takiej niewolniczej uległości zachęcają, oddają go wprost na *łaskę i niełaskę* niemieckich panów. Tylko *śmiała postawa* ludu może naprawić położenie jego.

„Dziennik Pozn.“ nazywa ten rezultat wyborów *okropnym.* Biedak, strasznie się widocznie przeraził taką... „wiernością“ katolickich sprzymierzeńców centrowych.

Dla nas ten wynik wyborów bytomskich nie jest ani *„okropnym“* ani nawet smutnym. Przeciwnie cieszymy się szczerze, że właśnie w stanowczej chwili Centrum znów odsłoniło *właściwą swą naturę!* *Staropolanin.*

My — po polsku!...

My — po polsku się modlimy,
Bo my — Polakami...
I nie zrobi z nas nikt Niemców
Swemi rozkazami. —
Żaden Polak po niemiecku
Nie pochwali Boga,
Bo w modlitwie i pacierzu
Żyje mowa droga.
A kto mowę zmienić zdoła,
Zmieni wiarę łatwo...
My po polsku się modlimy,
Bo my Polski dziatwą.

—

My po polsku rozmawiamy,
Bo my — Polakami...
I nie staniem się też nigdy
Przez mowę Niemcami...
Nie tak łatwo wydrzeć z serca
Polskiej mowy brzmienie,
Nie tak łatwo wśród Polaków
Sieje się niemczenie,
Boć to Polak swoją mowę,
Jak skarb strzeże — chowa —
My — po polsku rozmawiamy,
Bo to cudna mowa.

My — po polsku się bronimy
Przed temi krzywdami,
Które krają nas w kawały,
Ranią nas cierniami.
Bo musimy tu wciąż czuwać,
By nas nie zatruli,
Naszej mowy — myśli — wiary
W więzy nie okuli —
Ale Polak walczyć umie,
Wróg srogi! — czas płynie!,..
Polska mowa — cudna mowa
Nigdy nie zaginie...

Polka.

Ku wam!..

Ku wam — myśl nasza płynie z oddali, którzy kochacie tę naszą cudną mowę polską, a każde jej brzmienie przechowujecie z troskliwością serdeczną, iżby nie zostało zapomniane lub zatarte..

Ku wam — zwracamy swe oczy z oddali, którzy musicie dzień po dniu czuwać nad tem, aby ustrzedz swoje dzieci od zepsucia i wyziębienia serca, aby nie zapominały wyrazów ojczystych, przyjmując w to miejsce cudzoziemskie słowa.

Ku wam — wyciągamy nasze dłonie z uściskiem serdecznym wy biedni — zmęczeni i spracowani bracia nasi, matki małych dzieci, ojcowie troskliwi o życie narodu, którzyście przecie umieli tak swoje dzieci uhartować w miłości mowy ojczystej, iż wytrwały mimo prześladowań i nakazów; — a zdaje nam się, iż choć my od was dalecy, choć jesteśmy wam nie znani, choć wy nas nie znacie osobiście, przecież myśmy sobie blizcy — znani i — tak drodzy, jak owe bratnie serca, które splata jedno uczucie w hołd najbliższych a nadzieja jedna wiedzie dalej....

Ku wam — idziemy niby kędyś z oddali, a pytamy skąd u was ten hart żelaznej woli, zkąd ta wytrwałość nieugięta — zkąd siła wielka?..

Ku wam — szlemy westchnienia tęskne, pozdrawiając was tkliwie i zdaje się nam, że wy usłyszycie echo tych słów i że odpowiecie nam z pogodą w duchu: — my z wami!..

Ku wam — zacni obywatele i zacne obywatelki Wrześni — patrzymy śledząc wyrazy waszych twarzy i łez — jakobyśmy chcieli wyczytać, czy nie snuje się smutek w myślach waszych?. Lecz nie!.. Spełniony czyn każdy uczciwy daje wielką pogodę ducha.

Chcą wydrzeć mowę z serca — a tej mowy nie dać, to znaczy ustrzedz serce Ojczyzny od blizn i ran krwawiących się srogo.

Więc dlatego ku wam idziemy myślą

serdeczną i my z nad Wisły szerokiej i my z nad Dniestru szybko płynącego i my z nad Bugu brzegów i my ze stron gór polskich wysokich i my z dalekich przestrzeni Podola...

Ku wam wskazujemy dzieciom naszym, mówiąc oto patrzcie: — Oni mowę ojczystą kochają, a uczą dzieci, by sobie jej z serca wydrzeć nie dały...

Ku wam płynie nasze westchnienie ciche i pozdrowienia tkliwe... jakieście nam drodzy i mili... o! wy z Wrześni ojcowie i matki i dziatki ich mężne... Nie tak łatwo siać zgnębienie w narodzie, jak nasi wrogowie myśleli — bo i nie tak łatwo zmienić pióra sokołowi, wydrzeć pieśń słowikowi, ani zagłuszyć tętno serca uderzającego w milionach...

Ku wam idziemy — choć dalsi i nieznani — lecz sercem i myślą blizcy a jednacy...

Cześć wam!...

Polka z pod Wawelu.

Krakowiak
dla dzieci we Wrześni.

Karali — wołali —
Mówcie po niemiecku —
Na siew tej nauki
Dali plagi dziecku.
Cyt dziecko — cyt małe
Nie płacz-że choć boli,
Posłusznym być trzeba
Inspektora woli.

Jakże być posłusznym
Kiedy krzywda sroga...
Nie umiem się modlić
Jak Niemiec do Boga —
Czy umiesz — nie umiesz —
Oto nie pytamy —
Za polski „Ojcze nasz“
Biciem powtarzamy.

A choćbyście bili
Nie pomoże wiele,
Po polsku mówimy
W szkole i w kościele —
I Polskę kochamy
I kochać będziemy
Z naszych boskich darów
Słówka nie weźmiemy.

A choćby sto wróbli
Jaskółce ćwierkało
Wszyskiego to będzie
Dla ptaszka za mało,
Bo ona nie zmieni
Świergotania swego
Nie posłucha wcale
Nakazu srogiego —
Nakazu. —

I nam polskim dzieciom
Darmo powiadacie,
Że się po niemiecku
Uczyć polecacie,
Bo karzcie, jak chcecie,
Serca nie zmienicie,
Ani też z Polaków
Niemców nie zrobicie!

Jadwiga z Z. S.

Sąd.
(Legenda.)

„Bo fraszka sądy ludzkie —
Tam w piersiach głęboko
Górny sąd! gdzie sumienie
Władzę rozpostarło.“
Syrokomla.

Był sąd...

Groźny — surowy — poważny...

I patrzył w zadumie przed siebie i marszczył brwi i chmurzył czoło i przypominał paragrafy...

Na jednej szali sprawiedliwości leżał ciężar wielki i wiele ważący — *„przewina“* — na drugiej leżała rzecz poważna i czczona — *prawo.*

A sąd stał zadumany i patrzył jak się szalki chwieją — ważą — podnoszą i opadają...

Przewina w oczach jednych zdawała się czarna jak smoła, w oczach innych była biała jak śnieg.

Prawo zaś w oczach innych lśniło się promieniami słuszności, a u innych zdawało się ciemne, ponure i bez Bożego błogosławieństwa. A sąd śledził ruchy i słuchał głosów.

Jakiś głos ponury — dziki — ostry — powtarzał raz po raz:

— Winni!... Bardzo winni!.. srodze winni!

A inne głosy szeptem cichej modlitwy płynącej ku niebu mówiły:

— Zacni! czyści! nieszczęśliwi!...

A sąd stał chmurny — milczący — niepewny.

Szala jedna opada, druga się wznosi, znów ta opada, a pierwsza chwieje się ku górze.

Słońce przez szyby rzuciło snopy promieni jasnych i pyta:

— Sądzicie?..

— Sądzimy — odrzekli sędziowie i podnieśli już ręce, aby świadczyć na potępienie, lecz szala z przewiną uniosła się w górę.

Nienawiść wzrokiem żmiji wsunęła się do sali i przeraźliwym głosem pyta:

— Sądzicie?..

— Sądzimy odrzekli sędziowie i podnieśli już ręce, aby wydać wyrok potępienia, a szala z przewiną opadła tak nisko, iż zda się przeciw wszystkim prawom świata zawiniła.

I sąd zapadł...

A wtedy rozleciały się po nad obszarami miast i wiosek dziwne głosy i echa. Jedne mówiły:

— „Skazani!...“

Drugie wołały:

— „Bez winy!“

A sąd stał pełen tryumfu.

Wtem — weszło *„sumienie“* ciche — milczące — blade...

— Czego tu chcesz? pyta sąd w niepokoju i trwodze, czego wlepiasz swe oko wielkie i przenikliwe, czemu przerażasz tem pytaniem strasznem — „gdzie wina?“

A *„sumienie“* patrzy w głąb ducha sądu i okiem tem źre i pali — rani i kaleczy....

— Idź ztąd! woła sąd z gniewem — czego chcesz?... Szala z przewiną opadła nisko — wyrok wydany...

A „sumienie“ palącym wzrokiem wpija się w duszę sądu i szepce cicho:

— Byłaż tu ona?

— Kto?...

— *„Sprawiedliwość!“*

— My jesteśmy sprawiedliwością, my jej życie stanowimy — my jej skrzydła rozpinamy, ona — to my...

Wtedy *„sumienie“* wyciągnęło długie swe ręce — podniosło po nad głowę sądu i poczęło wołać raz po raz, coraz ciszej i ciszej:

— Pomnijcie!... będzie sąd — inny sąd — wielki sąd...

A sąd stał gniewny — chmurny — ponury...

A po nad miastami i wioskami płynęła wieść smętna...

— Wyrok wydany! wyrok wydany!..

Jadwiga z Łobzowa.

Oj wyrośniesz!...

Oj wyrośniesz, ty wyrośniesz
Synu mój maleńki...
I wypłyniesz w świat z pod skrzydeł
Twojej matuleńki...
Oj!... popłyniesz jako orlę
Na dalekie morza
I zaniknie ci z przed oka
Ponad chatą zorza...
Oj!.. zaginie ci z przed oka
Twoja chata mała,
Co ci była dotąd światem,
Od burz ochraniała...
Nie wylecisz ty mój synu —

Na zielone pola,
Lecz pomiędzy groby — krzyże,
Gdzie krwią zlana rola.
Nie wypłyniesz ty płaszyną,
Na ciche piosenki,
Ale orłem na te gromy
Trudu i wojenki.
Oj nie będziesz ty za pługiem
Siał ziarna złotego...
Ale będziesz rzucał czyny
Męztwa niezłomnego...
Bo dziś takie czarne lata
Snują się w Ojczyźnie,
Iż łzy tylko i mogiły
Wschodzą na niej żyźnie.
Ale szczęścia ni iskierki
Nie znajdziesz wokoło...
Nie zaśpiewa ci tak życie
Jak matka wesoło.
Oj wyrośniesz ty, wyrośniesz,
Synaczku mój miły...
I popłyniesz nie na kwiaty,
Lecz łzy i mogiły...
Ale na tych krwawych polach
Wzejdzie jasna zorza...
Oj!... powita cię Ojczyzna
Od morza do morza!

Sokol — —

Z GÓRNEGO ŚLĄZKA.

Bytom, 19 listopada.

Dymy i kominy, kominy i dymy — jakiś inny, tak nieskończenie inny świat! Płaszczyzna smutna, szara, nad nią rozsłonecznione niebo pogodnej polskiej jesieni, a pod tem niebem, bliżej i dalej, aż gdzieś na krańcach horyzontu snują się i kłębią dymy... Wszędzie, gdzie okiem rzucić, to ciemniejsze, to jaśniejsze słupy i płachty dymów, między niemi błyśnie czasem blachą obita wieża kościoła. Kominy, dymy i wieże kościelne — to Górny Śląsk, a raczej górniczo-przemysłowa część G. Śląska. Katowice, Królewska Huta, Bytom, Zabrze, Zaborze itd., wszystko to stanowi jedną olbrzymią całość, dzięki nieustannemu ruchowi pociągów i kolejce elektrycznej, przeprowadzonej przez pola. Pola? Tak się to mówi z przyzwyczajenia. Tu szmat kartofli, tam trochę żyta, albo koniczyny, a tu już bucha ogniem piec hutniczy, tam „hołda“, tu widać szyb, tam w powietrzu suną na drutach wózki z węglem, tu wązkotorowa kolejka do kopalni — „wsi spokojna, wsi wesoła!...“ Wieczorem wszędzie morze elektrycznych świateł, krwawe blaski płomieni, — łuna na niebie, jakby się całe piekło zapaliło. A wstąpmy do samej wsi, choćby do takiego Zaborza: macie tu tylko murowane kilkopiętrowe domy i 28 tysięcy mieszkańców. Szukajże tu ciszy i spokoju polskiej wsi! Spokoju tu nikt nie zna. Ziemia cała podminowana i świadomość nieustającej pracy tam, w głębi — chodzi krok w krok za człowiekiem — nie! tu nie można „uspokoić się w sobie“. Oto kawał jakiejś ponurej pustki — same piaszczyste wydmy, z rzadką, nędzną trawą, gdzieniegdzie czarny słup, na nim również czarna tablica z trupią czaszką i dwoma piszczelami — prawdziwe pole śmierci! Słupy ostrzegają: tam, nad kopalnią wierzchnia warstwa ziemi jest taka cienka, że łatwo zapaść się może. Żadnych napisów, żadnych innych zastrzeżeń — tylko to godło śmierci — i dosyć. I wszystko tu zdaje się być pod godłem śmierci. Nie uznojeni oracze w gorących blaskach słońca uprawiają umiłowaną ziemię — tutaj w mrokach, w ponurej głębi wydzierają jej podstępnie ukryte skarby — ludzie, jak te głębie mroczni i posępni. I strasznie smutny jest Śląsk. Ludzie bladzi, wymizerowani i zgnębieni, bo „żyją życiem przybyszów *na rodzinnej ziemi.*“ Zatraciła się gdzieś cisza i pogoda wsi, dymy i mury pochłonęły wszystkie uroki przyrody. Skupiły się tu wszystkie ujemne czynniki wielkich zbiorowisk ludzkich, a niema nic, ani jednej dodatniej strony wielkomiejskiego kulturalnego środowiska. Tu ludzie żyją i umierają wśród dymów, łoskotu, ciemności — i brzydoty. Dla umysłu nic, dla kultury duchowej nic. I dlatego Ślązak jest dziwnie smutnym i jedynym w swoim rodzaju typem. Cała burżuazya, tak zwana „inteligencya“ to Niemcy, hakatyści, tchnący fanatyczną nienawiścią i pogardą do „Wasser-Polacken“. Nasza polska kultura tak dawno ztąd zniknęła, że Ślązk o niej nic nie wie, o niemieckiej zaś nic widzieć nie chce. Żadnych więc interesów umysłowych, nic dla ducha, choć grunt jest niezmiernie podatny i chciwość wiedzy ogromna. Najlepszy dowód — to odczyt, który się odbył przed kilku tygodniami w Królewskiej Hucie. Dr. Urbanowicz mówił o obrotach ciał niebieskich. Sala przepełniona. Odczyt i niknące obrazy wprawiały wprost w zachwyt słuchaczy. I rzeczywiście, ci ludzie, którzy wyszli z „kulturalnej“ niemieckiej szkoły, *pierwszy raz słyszeli imiona Kopernika* i Galileusza, dowiadywali się najprostszych prawd o ziemi i układzie słonecznym.

I niedziw! Toć w prasie śląskiej się tego niedoczytasz...

M.

* * *

Król. Huta 5. 11. 1901.

Kochano „Praco“.

Z powodu napaści gazet śląskich na Ciebie nie możemy spokojnie przyglądać się temu, co robią gazety śląskie, po których nigdyśmy się tego nie spodziewali.

Teraz wyszło na jaw ich wyznanie polityczne, na które cały oświecony ogół się oburza, a my dotychczasowi czytelnicy „Katolika“ i „Dziennika Śląskiego“ przestaniemy czytać te pisma, jeżeli przekonania nie zmienią. Widać bardzo dobrze, o co redaktorom pism naszych chodzi. Przez rozszerzenie „Pracy“ i innych pism narodowych zaczęło im tu ubywać abonentów. Byłby czas, aby tu nowe pismo założyć, któreby miało wielkie powodzenie, ponieważ z naszych pism jest wielkie niezadowolenie.

Największą złość napełnia nasze gazety to, że „Praca“ otworzyła na G. Śląsku filię i powierzyła ją osobie takiej, która jest innego zdania, co one, a może dużo zdziałać dla naszej sprawy, a zwłaszcza w czasie wyborów.

Czemu „Katolik“ prędzej swego zdania nie ogłosił i pozwolił się „Pracy“ tak rozszerzać, dopóki się Śląskiem nie zaczęła zajmować?

Czemu „Katolik“ teraz w tak brzydki sposób napadł na „Pracę“, gdy wzięto w niewolę głównego jej współpracownika p. dra Rakowskiego. Przypuszczał, że obóz „Pracy“ jest przez to osłabiony i tem łatwiej będzie ją można zgnieść i zabić.

Resztę osądźcie sami czytelnicy. Przesyłamy kochanej „Pracy“ serdeczne pozdrowienia i zaręczamy, iż wszystko zrobimy, aby jej robotę ułatwić.

Czytelnicy „Pracy.“

Z KRÓLESTWA POLSKIEGO.

Warszawa, 18 listopada.
(Korespondencya specyalna „Pracy“.)

Jeżeli miesiące całe upływają pod znakiem „byka“, „niedźwiedzia“ itp. — to dlaczegoż to samo nie mogłoby się odnosić do krótszych okresów czasu? W tym sensie rzecz biorąc, trzebaby też przyznać, że ostatni, ubiegły tydzień przebyliśmy w Warszawie „pod znakiem Filharmonii“. Tam, gdzie życie społeczeństwa nie toczy się wartko i gdzie nie nadarzają się często okazye do pracy na szerszej arenie — tam istotnie otwarcie takiej instytucyi, jak gmach, zespalający pod godłem sztuki idealniejsze porywy jednostek, musi szersze przybierać wymiary, aniżeli tego należałoby się spodziewać. Warszawie w Filharmonii przybyła nietylko wielka ozdoba miasta, ale równocześnie pewna ostoja dla rozproszonych talentów twórczych i odtwórczych. I Warszawa umiała to odczuć. Gdyby nie baron Leopold Kronenberg, dobra w zasadzie samej myśl, rzucona przez redaktora „Echa muzycznego“, p. Aleksandra Rajchmana, z pewnością długo nie przyoblekłaby się w ciało. Z razu poparto gorąco inicyatora, chętnych do wzięcia udziałów znalazła się spora gromada, a wśród podpisów widniały nazwiska przedstawicieli najwybitniejszych, historycznych rodów polskich. Przecież o słomiany ogień i zapał nigdy u nas nie bywało trudno! Z chwilą jednak, gdy przyszło realizować przyrzeczenia, sprawa okazała się zawilszą, niż sądzono. Doszło też do tego, że niejednokrotnie postępowi robót około budowy gmachu groziła przerwa, a wtedy jedyną deską zbawienia okazywały się żelazne kasy barona Kronenberga. Dziś każdy przechodzień po najbardziej ożywionej ulicy Marszałkowskiej zatrzymuje się przy zbiegu z ulicą Sienną bodaj na chwilę i z łatwo zrozumiałą dumą spogląda na pałac Filharmanii.

Kto nie zna Warszawy i kto nie ma pojęcia o ruchu, jaki zwykł panować nad wieczorem na ul. Marszałkowskiej, ten nie może nawet wyobrażać sobie tego, co się np. dzieje we wtorki, piątki, soboty i niedziele, gdy zarząd Filharmonii zapowiada swe interesujące kon-

certy. Pomimo, że żandarmi na koniach starają się utrzymać porządek i pomimo, że organa policyjne wysilają całą energię, aby nie tamowano swobodnego krążenia powozów i dorożek, chwilami o przejściu z jednego chodnika na drugi nie ma nawet mowy. Z czasem oczywiście spowszednieje Filharmonia, jak powszednieć już zaczynają „kuchnie ruchome". Dziś jednak otwarcie sezonu koncertowego jest wypadkiem dnia i tygodnia. Toć przecież sam p. baron Kronenberg dyrygował utworem swoim „Antico", a nawet taki poeta muzyczny z Bożej łaski i taki krytyk subtelny, jak Zygmut Noskowski przyznał, że dzieło melomana-barona nie należy bynajmniej do wyrobów tuzinkowych. Autora zmuszono do powtórzenia utworu, obrzucono go wieńcami i kwiatami, których nie poskąpiono również poecie p. Arturowi Oppmanowi (pseud. Or-Ot) za to, że dał sposobność panu Kronenbergowi do podłożenia pięknej muzyki pod poetyczne słowa tekstu.

Gdy się patrzy, jak w Warszawie przybywają ustawicznie, corocznie nowe a piękne gmachy, służące dla celów dobra ogólnego, gdy się widzi wyrastające budowle w rodzaju pałacu Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych, hotelu „Bristol" i wreszcie „Filharmonii" to przyznać trzeba, iż robi się dużo siłami prywatnemi dla pożytku i upiększenia miasta. Gdzieindziej do fundowania takich instytucyi przyczyniają się zarządy miejskie — u nas dokonywać tego trzeba drogą ofiarności jednostek lub też ogółu.

To pociesza i pozwala zapominać o wielu innych niemocach, które nas trapią. O ile np. sympatyczniej jeszcze przedstawiłaby się Warszawie taka Filharmonia, gdyby na produkcye artystyczne w niej składały się wyłącznie siły miejscowe, swojskie! Niestety! pod tym względem trochę niedobrze zaprezentowała się nasza Filharmonia. Prawda, że pierwszym kapelmistrzem, a dodajmy, kapelmistrzem nieposledniej miary, jest p. Emil Młynarski; ale posadę dobrze płatną drugiego kapelmistrza obsadzić musiano już Czechem, panem Prochaską. W składzie orkiestry dzieje się gorzej jeszcze.

I tu przy pierwszym pulpicie widzimy głośnego Pawła (ongi „Pawełka") Kochańskiego, obok niego wszelako zaledwie kilku *minorum gentium* artystów. *Gros* armii filharmonijnej tworzą Niemcy, Duńczycy, Czesi i t. p. — a właściwie .... żydzi, przyznający się do tej lub owej narodowości. Zdarzyło się nawet, że musiano w „Sądny dzień" (Jom Kipur) zaniechać próby orkiestralnej, gdyż do apelu stawiło się zaledwie kilku grajków, reszta zaś świętowała i modliła się po bóżnicach.

Czyż to nie charakterystyczne? Warszawa posiada Konserwatoryum muzyczne, do którego uczęszczają setki uczniów, spróbujcie wszakże z tych wszystkich laureatów zebrać znośną kapelę? Ba — nawet na kwartet nie umiemy się zdobyć i zdarzają się np. takie wypadki, że obywatele z pod Mińska musieli zwrócić się do żyda wiedeńskiego, niejakiego Nachtigalla, gdy chcieli, ażeby im muzyką uprzyjemniano czas na balach, przy obiadach wystawowych itp.

Nie przypuszczam, ażeby konserwatoryum warszawskie żadnych zgoła nie wydało owoców. Przeciwnie, wiemy wszyscy, że Warszawiak i nadobna Warszawianka, zasmakowawszy w muzyce, umieją włożyć w interpretacye mistrzów dużo odczucia, elegancyi, dobrego smaku.

Dlaczegoż więc nie zdobyliśmy się na znośną orkiestrę własną, pomimo wielu prób, czynionych w tym kierunku?

Chyba nie zbłądzę, gdy powiem, że jakaś „fałszywa ambicya" czy też źle zrozumiany wstyd stoi temu na przeszkodzie. Z patentem konserwatoryum woli wychowaniec tego instytutu gonić za licho płatnemi lekcyami, woli się męczyć od rana do wieczora, aniżeli grać w zadymionym lokalu restauracyjnym, choćby nawet pierwszorzędnym, lub też siadać przy pulpicie w orkiestrze teatru Małego, Ludowego. „Nie wypada" — oto śmieszny frazes, który dużo już bardzo narobił złego.

Muzykalna Warszawa (ten przydomek nosi gród syreni z pewną dumą) powitałaby niewątpliwie z radością wielką wiadomość o pozwoleniu, udzielonem na wzniesienie pomnika największemu z naszych mistrzów tonu — Fryderykowi Chopinowi. Od dawna już obiegają pogłoski, że w Petersburgu udzielono sankcyi, prasa jednakże milczy, a publiczność znajduje się w położeniu owej przysłowiowej „tabaki w rogu." Mówią, że pomnik *wolno* będzie postawić, mówią również, że *nie wolno* będzie zbierać składek publicznie, jak to się działo np. przy tworzeniu pomnika Mickiewicza — słowem kursuje tyle sprzecznych wersyi, że niewiadomo, czego się trzymać na razie. To pewna wszelako, że gdyby społeczeństwo miało już rękojmię, iż zbieraniu składek nie położoną będzie tama, to fundusze znalazłyby się w mig. Dla uczczenia pomnikiem Chopina biedacy nawet składaliby chętnie swój grosz wdowi, jak składali go na odbudowanie spalonej wieży przy świątyni Jasnogórskiej.

Oprócz otwarcia Filharmonii mieliśmy w Warszawie ważną sprawę wyborów na reprezentantów Towarzystwa Kredytowego Miejskiego. Z gruntu rzeczy wybory takie nie elektryzują mieszkańców i dotyczą tylko pewnej sfery ludzi, owych „beati possidentes," którym los szczęśliwy pozwala ciągnąć dobre zyski z domów własnych. Pomimo to wybory zajęły ogół, nie obojętną bowiem dla nikogo jest rzeczą, czy instytucyę finansową tej miary, co Tow. Kredytowe, reprezentować będą chrześcianie czy żydzi. Kursowały więc listy z różnymi kandydatami, a gdy nadeszła chwila głosowania, bawili się interesowani gromadnie i przez całą noc walczyli wśród dymu, zaduchu i znużenia.

Wszędzie rozgrywa się ciekawa sprawa karna. Na ławie oskarżonych zasiadł właściciel Klein, jego brat i kilku budowniczych oraz majstów. Wszyscy oni dopuścili się „fuszerki" przy budowie kamienicy przy ul. Żórawiej. Kamienica niewykończona sterczy od lat kilku, a p. Klein ani słuchać nie chce o tem, ażeby rozebrać grożące ustawicznie upadkiem mury. Może sąd zmusi go teraz do kroków stanowczych. W toku rozpraw interesujące wyszły na jaw szczegóły. Pokazało się np., że budowniczowie i majstrowie dawali tylko firmę, postępu robót nie śledzili i poprzestawali na skromnem wynagrodzeniu, dawanem im przez przedsiębiorczego p. Kleina.

Ze sfer literackich dwie ważne przesyłam wam nowiny: prof. Julian Ochorowicz zrzekł się przewodniczenia w znakomicie rozwijającej się Kasie literackiej; p. Maryan Gawalewicz obejmuje redakcyę „Bluszczu." Że pismo, bardzo wątły wiodące żywot, podniesie się pod wodzą autora „Legend o Matce Boskiej," nie ulega wątpliwości, natomiast niełatwe będzie zadanie obsadzić stanowisko prezesa Kasy. Po Sienkiewiczu i Ochorowiczu może tylko objąć godność człowiek dużych zasług, musi to też być poważana firma, rzucająca światło na zewnątrz.

Na cmentarzu powązkowskim przybyła znów nowa mogiła, kryjąca śmiertelne szczątki artysty, który lat z górą 40 pracował wiernie na scenie warszawskiej. Zmarł śp. Adolf Koziebrodzki, wyborny w swoim czasie *bas buffo* i reżyser opery. Komizmem i werwą porywał słuchaczów i widzów, a takiego Kalchasa, jakim był w „Pięknej Helenie" Koziebrodzki, naprózno teraz szuka scena warszawska. Ze śmiercią śp. Koziebrodzkiego ubył jeden z tych dawnych przedstawicieli świetnych czasów opery. Obok Rivoli, Dobrskiego, Filleborna, Dowiakowskiej itp. znajdzie się też w pamięci trwałe miejsce dla śp. Adolfa Koziebrodzkiego. *Kurdesz.*

Z NIEMIEC.

Dortmund, 14. 11.

Wiec polski w Dortmundzie w sprawie wyborów do rady miejskiej odbył się w niedzielę dnia 10 b. m. staraniem komitetu, sprawą tą się zajmującego. Mówcy, którzy głos zabierali, byli prawie wszyscy za tem, aby się nie łączyć z żadną partyą, czy to z liberalno-centrową lub z socyalistami, tylko iść samodzielnie ręka w rękę do urny wyborczej.

Wybory odbędą się 21 i 22 listopada w 5 okręgach. We wszystkich postawili Polacy swych własnych kandydatów. *S. B.*

Z TYGODNIA.

Niedawno znów obiegały pogłoski, jakoby stan zdrowia Ojca św. *Leona XIII* był wielce niepomyślny, jakoby już dostrzedz się dawał szybki zanik sił. Pogłoski te, jak inaczej być nie mogło, zaniepokoiły cały świat katolicki, lecz na szczęście bezpodstawność ich rychło wyszła na jaw. Osoby, które w ostatnich dniach doznały szczęścia otrzymać posłuchanie u Ojca św. zeznają zgodnie, że Leon XIII wygląda jak na wiek swój

wybornie, mówi żywo i głośno. Sam też podobno żartował z dziennikarzy, spekulujących na rychły zgon jego. Tego rodzaju alarmujące wieści pochodzą zwykle z źródeł masońskich, a wyrażają jedynie gorące życzenie wrogów Kościoła, dla których Leon XIII za długo już żyje. Tem goręcej też my katolicy błagać winniśmy Boga, aby sędziwego Namiestnika Chrystusowego, pod którego rządzami Kościół nową zajaśniał chwałą, jaknajdłużej jeszcze zachować raczył przy życiu i zdrowiu!

Parlament *niemiecki* zwołany został na 26 bm. Załatwi on nasamprzód sprawy odroczone na wiosnę z powodu przerwania sesyi — niezadługo atoli zajmie się zapewne także nową taryfą celną i sprawą traktatów handlowych z Rosyą i Austryą. Dzienniki stronnictw, przeciwnych podwyższeniu ceł na zboże przepowiadają, że obrady odnośne będą bardzo burzliwe; co więcej dają wcale niedwuznacznie do zrozumienia, że opozycya przeciwko wyższym cłom rzeczonym chwyci się w danym razie tak często dziś w parlamencie używanego środka *obstrukcyi*, aby tylko niedopuścić do przyjęcia nowej taryfy według propozycyi rządu. W tym celu żądać będzie, ażeby nad każdą pozycyą celną odbyła się osobna dyskusya i osobne głosowanie. Obstrukcya ma się przeciągnąć do nocy noworocznej 1903. Gdyby bowiem nowa taryfa uchwalona została do tego terminu, wtedy dnia 15 stycznia 1903 roku rząd mógłby wypowiedzieć traktaty handlowe, czego nie może uczynić, jeżeli nowa taryfa do tego czasu uchwaloną nie będzie. Wówczas traktaty przedłużą się milcząco o jeden rok. Stronnictwa opozycyjne spekulują przytem głównie na to, że w roku 1903 odbędą się nowe wybory, a wtedy hasło niechcemy podrożenia chleba! — może im pozyskać dużo nowych zwolenników. — Wiadomo, że wyższe cła zbożowe chleba zbytnio nie podrożą a mają głównie na celu ochronę rólnictwa krajowego przed zabójczą wprost konkurencyą zagranicy. Najgorzej tedy na tej obstrukcyi wyjdą rólnicy, którzy już dzisiaj walczą z ciężkiemi warunkami bytu.

Zatarg *francuzko-turecki* rzeczywiście już został załatwiony i to w ten sposób, że Turcya spełniła wszystkie żądania francuzkie, nietylko co do odszkodowania pokrzywdzonych obywateli francuzkich, ale także co do szkół katolickich, Armeńczyków itd. Nie sprawdziły się też wieści, że rząd francuzki skorzysta z tej sposobności, ażeby na zawsze zagarnąć wyspę Mytilenę. Flota francuzka już bowiem opuściła porty tej wyspy i wraca do Francyi.

W chwili gdy rząd turecki upokorzył się przed Francyą, zmarł długoletni kierownik jego — wielki wezyr *Rifaat basza*. Zmarł na chorobę na którą cierpiał już od dawna, a nie czasem wskutek zmartwienia z takiego przebiegu sprawy.

Pod tym względem Turcy nie okazują zbyt wielkiej wrażliwości i każde niepowodzenie przyjmują obojętnie niemal — jako wolę Ałłacha, jako przeznaczenie, którego odmienić nie mogą. A zmarły wezyr niczem nie różnił się od swych współwyznawców i rodaków. Następcą jego mianował sułtan dotychczasowego ministra sprawiedliwości *Abdurrahamana* baszę. Nominacya ta nie sprawiła podobno dobrego wrażenia w kołach dyplomatycznych, nowy wezyr jest bowiem fanatykiem zarówno upartym jak i śmiałym, a taki człowiek na czele rządu tureckiego może panom dyplomatom w Carogrodzie niejedną zatruć chwilę. Pocieszają się też nadzieją, że nominacya Abdurrahamana jest tylko przejściową, i że wkrótce zapewne inny dygnitarz, milszy opiekunom „chorego człowieka“, zajmie to najwyższe w państwie stanowisko.

Masoński rząd francuzki odniósł więc w wielkiej polityce niemały sukces, który upewni jego stanowisko. Mimo to — masoni francuzcy zadowoleni nie są, z innej wprawdzie przyczyny. Zauważyli oto zapóźno, że w swej akcyi przeciwko zakonom — zaplątali się we własne sieci. Ukute przeciwko zakonom prawo tak jest zredagowane, że może być zastosowane także przeciwko... *lożom masońskim* — zwłaszcza co do przyjmowania zapisów. Rychło tedy postarają się o poprawkę tego prawa, bo nużby ster rządu dostał się w ręce przeciwników, loże masońskie w bardzo przykre mogłyby popaść położenie. I tu sprawdza się przysłowie, że kto pod innym dołki kopie, sam najczęściej w nie wpada.

Z pola walki w *południowej Afryce* nie nadeszły w ostatnich dniach ważniejsze wieści. Faktem atoli jest, że opór Burów nietylko nie słabnie, ale się nawet wzmaga. Obiegają pogłoski, że powstańcy w kolonii Przylądka zagrażają już nawet stolicy Capstard, że niemal w oczach załogi miasta tego zabrali Anglikom 6000 koni, przywiezionych świeżo z Europy a pędzonych dla wojska w Transwalu.

Jeśli pogłoska ta polega na prawdzie, w takim razie byłaby to dla Anglików klęska, straszniejsza nawet niż porażka pułkownika Bensona. Bez koni bowiem armia angielska przeciwko ruchliwym Burom nic zdziałać nie zdoła. W interesie sprawiedliwości i życzliwości życzyć tedy wypada, ażeby nietylko ta pogłoska się sprawdziła, lecz także wszystkie następne transporty koni wpadły w ręce Burów. To zakończyłoby wojnę rychlej — niż nawet interwencya zagraniczna.

W parlamencie *austryackim* socyalista poseł *Daszyński* i Rusin Romańczuk wytaczali znów głośne skargi na rzekome nadużycia władz przy tegorocznych wyborach do sejmu *galicyjskiego*. Skargi te należą wyłącznie przed forum tegoż sejmu i dwaj ci panowie jednakże wolą je poddawać pod sąd wrogów naszych. A dla wrogów tych, zwłaszcza dla *wszechniemców* nadzwyczajna to gratka. Zaraz potem różne bankowe i rewolwerowe pisemka niemieckie opowiadają różne okropności o „polnische Wirtschaft“, o „Halbasie“ itp. — i tak w wyobraźni przeciętnych filistrów niemieckich wytwarza się najfałszywsze pojęcie o stosunkach galicyjskich i polskich. A opinia taka nie jest obojętną, bo służy ona do wzmocnienia hakatystycznych prądów. Ale cóż na tem zależy socyaliście Daszyńskiemu? Dla niego przecież *ojczyzna* i *narodowość*, to puste dźwięki. Jemu chodzi tylko o poklask czerwonego internacyonału. Tymczasem nie miał co prawda szczęścia, zarzuty jego zbijał nawet nie bardzo Polakom życzliwy prezes ministrów *Koerber*.

Oj ten pan Koerber! Zarzuca on sieci na wszystkie stronnictwa, zwłaszcza na niemieckie — ale zdaje się, że połów jego nie będzie obfity. Stosunki parlamentarne gmatwają się znów porządnie i o większości pewnej jeszcze ani marzyć nie może. Wszechniemcy — jeźli wogóle oddadzą się w służbę panu Koerberowi — to uczynią to jedynie kosztem Słowian. Jak się oto dowiadują dzienniki czeskie, zagrozili Niemcy nawet obstrukcyą przeciwko budżetowi, jeżeli rząd nie skreśli z niego rozmaitych zasiłków na cele polskie i czeskie, np. subwencyi dla gimnazyum *cieszyńskiego*. Przypuszczamy, że pan Koerber nie zechce spełnić tego życzenia i że „Koło polskie“ czujnie stać będzie na straży polskich interesów. Bądź jak bądź — żądanie to charakteryzuje dobitnie wyrastającą butę Niemców w Austryi — a przytem daje nam przedsmak tego, co spadłoby na Słowian, gdyby Niemcy znów stać się mieli żywiołem rządzącym.

I *u nas* zanosi się na nowe *prześladowanie żywiołu polskiego*. W niedzielę dnia 10-go b. m. miało się odbyć w Baukau w *Westfalii* zebranie w celu założenia polskiego towarzystwa śpiewu. Gdy pierwszy mówca zabrał głos, oświadczył dozorujący zebranie komisarz policyjny z polecenia policyi w Baukau, że rozprawy mają się toczyć w języku *niemieckim*, w przeciwnym razie zostanie zebranie natychmiast rozwiązane. Z tego powodu zebranie się nie odbyło i obecni Polacy rozeszli się spokojnie do domu

Wiadomo, że tego samego sposobu rozwiązywania polskich zebrań probował już były minister von der Recke. Atoli najwyższy sąd administracyjny orzekł dnia 5-go października 1897, że według § 27 konstytucyi pruskiej wolno każdemu obywatelowi pruskiemu wygłaszać swe zdanie, bez względu na to, w jakim języku to czyni. Po tym wyroku ustało też szykanowanie polskich zebrań z powodu języka polskiego. Jeźli teraz rozpoczyna się na nowo, to ciekawa rzecz, czy to tylko pojedyńczy wypadek samowoli niższego urzędnika, *czy też początek nowego systemu?* Niedawno przecież *„słynny“* profesor Zorn „udowodnił“, że rząd ma prawo wymagać, aby jego poddani obradowali tylko w „państwowym“ języku. Prawdziwi uczeni wzruszali ramionami nad temi dobrze zapewne zapłaconemi wywodami, kto wie atoli, czy nie były one także z góry — *zamówionemi?* Nieraz już bowiem rząd antipolskie swe zarządzenia kazał sobie najpierw „naukowo“ opatentować, a raczej uzasadnić, aby tem łatwiej mógł je przeforsować w sejmie. Czyżby i teraz tak być miało? Byłoby to nową wołającą o pomstę do nieba krzywdą — aleć my na wszystko przygotowani być musimy. Jedyna pociecha, że „większy Pan Bóg niż pan Rymsza“ — i że nawet najcięższe ciosy przy Bożej pomocy — nic nam nie zaszkodzą!

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Stało się! Wyrok w sprawie wrzesińskiej zapadł potępiająco, a echo tego wyroku rozbrzmiewa dziś niemal wszędzie tam, gdzie jeszcze serce ludzkie bije! Cały naród polski podziela boleść skazanych, miliony serc polskich goręcej zabiły na wieść srogiego wyroku i oczy wszystkich zwrócone dziś ku Wrześni, gdzie drobne dzieci biednego ludu polskiego — opuszczone, bez opieki, bez chleba, ponieważ ich ojcowie i matki — w więzieniu!

W więzieniu za to, że stanęli w obronie swych dziatek, niechcących chwalić Boga w niezrozumiałym im języku. Oto znamię kultury pruskiej XX wieku!

A my co na to? My? A no, my będziemy nadal liczyć na — pomoc i opiekę centrum! I słuszna! czyż od czasu panowania potężnego centrum, z którem się rząd liczyć musi — stała się nam jaka krzywda? Bynajmniej! Centrum zawsze „po naszej stronie“, a choć tam przy tej pomocy — wypędzono 40,000 Polaków z granic Prus, poświęcono 300 milionów na kolonizacyą, zniesiono polski wykład religii nawet w najniższych klasach elementarnych, więziono gimnazyastów i młodzież akademicką, przez co zwichnięto przyszłość niejednego młodzieńca — chociaż się rozwięzuje polskie zebrania dla błahego powodu, a nawet obecny proces w Gnieźnie w sprawie wrzesińskiej — to, to wszystko nic, wobec tej pewności, że potężne centrum „po naszej“ stronie; przecież nam z tą „obroną“ i „pomocą“ dobrze, tak bardzo dobrze!

Nawet prokurator gnieźnieńskiego sądu zaznaczył, że jest „katolikiem“, więc należy zapewne również do centrum. — A cóż by wreszcie szkodziło, gdybyśmy nawet na prokuratora sądu gnieźnieńskiego głosy polskie oddali? Przecież ten prokurator gnieźnieński to też „katolik“ i może wcale nie gorszy od Ballestrema!!

Cóż ty na to, szanowny „Katoliku“ bytomski? Jak ci się podoba ta nasza propozycya? — Toć nam przy tej przez ciebie szanowny „Katoliku“, tak bardzo zachwalanej pomocy centrum coraz cieplej, ba nawet gorąco, a wśród tego upału przypomina się nam mimowoli staropolskie przysłowie: „wśród przyjaciół psy zająca zjadły.“

I czyż idąc za przykładem bytomskiego „Katolika“ nie stalibyśmy się tym zajączkiem uciekającym się pod „przyjacielskie“ skrzydła centrowców?

Czyż podobne zajścia jak w szkole wrzesińskiej były by możliwe, gdyby centrum w parlamencie szczerze wystąpiło przeciwko temu systemowi? „Katolik“ odpowie może „dowcipnie“, że sprawa szkoły, to sprawa sejmu. — — Ale czyż centrowcy z parlamentu nie mają dosyć środków i dość siły, by chociaż pośrednio wpłynąć na rząd? Jeżeli centrum nie ma tej siły, a raczej nie chce jej użyć, to cóż nam po tej tak marnej przyjaźni, przypominającej nam coraz żywiej owego zająca „wśród przyjaciół?“

Że i zdrowo myślący ogół tak sądzi, pokazało się to i w ubiegłym tygodniu, który przyniósł nam cały szereg nowych głosów potępiających samolubne, małoduszne, upokarzające wystąpienie prasy ślązkiej.

I tak w sprawie wiadomej odezwy „Katolika“ przeciwko „Pracy“ zabiera ponownie głos p. Dr. Władysław Rabski, jeden z najwybitniejszych publicystów polskich, a znający wybornie stosunki tutejsze, boć jest synem wielkopolskiej ziemi i w poczytnym **„Kuryerze Warszawskim“** w wstępnym, obszernym artykule pisze pomiędzy innemi:

„Na Górnym Śląsku i w prasie poznańskiej toczy się obecnie walna dyskusya o stosunku ludu polskiego do partyi katolików niemieckich. Sprawie tej poświęciliśmy już krótką notatkę w „Przeglądzie prasy“, ponieważ jednak polemika zaostrza się coraz więcej, *i skończy się prawdopodobnie założeniem nowego pisma polskiego na Śląsku,* więc szkicujemy poniżej obraz sytuacyi.

„Na Górnym Śląsku hasło emancypacyi politycznej z pod komendy centrum niemieckiego brzmi już oddawna w różnych waryantach i tonacyach. Kilka lat temu na czoło tego ruchu wysunęły się *Nowiny raciborskie,* ale pismo to stało się z czasem własnością potężnego *Katolika,* który w prasie górnośląskiej zajmuje stanowisko dominujące i rozporządza dziś nietylko własnym organem, lecz *Dziennikiem śląskim, Nowinami i Światłem.* Zasługi tego poczytnego pisemka są istotnie niezaprzeczone, ale kierownik jego p. Napieralski, który w dziedzictwie po ks. Radziejewskim objął ster redakcyjny, *wyrósł w tradycyjnej zawisłości od stronnictwa katolików niemieckich i w poczuciu tej zależności zatracił odwagę do śmiałych rzutów strategicznych.* Zuchwały atak, kategoryczne „autaut“, są obce *Katolikowi* bytomskiemu. Posuwa się wolno, ogląda na prawo i lewo, *cofa się w chwili stanowczej i wpływami swemi krępuje śmielsze żywioły, które już niejednokrotnie myślały o zerwaniu* sojuszu między ludem górnośląskim a jego opiekunami wyborczymi.

„Po sprzedaniu *Nowin raciborskich* wydawcom *Katolika,* pozostała na Górnym Śląsku jedna tylko gazetka ludowa, zajmująca poniekąd stanowisko opozycyjne wobec tradycyjnej komendy, rezydującej w Bytomiu. Ale frondzie *Gazety Opolskiej brak stale należytej energii i stanowczości, aby na szalach politycznych zaważyć mogła.* Redaktor jej, p. Bronisław Koraszewski, to niewątpliwie pracownik zdolny, działacz ruchliwy i charakter czysty, jak łza, *ale w indywidualności tej nie ma żelaza,* jest raczej miękkość słowiańska, którą redakcya *Katolika* z łatwością ubezwładnia i dyplomacyą zakulisową szachuje. W prasie górnośląskiej wytworzył się zresztą pewien rodzaj lokalnego separatyzmu, odpychający z niechęcią wszelkie wtrącanie się prasy poznańskiej do stosunków miejscowych, a w takich warunkach *Katolik* pozostaje potęgą decydującą, której wpływów nic zmienić i nic osłabić nie zdoła.

„Łatwo tedy zrozumieć, że gdy z inicyatywy *Pracy* poznańskiej ukazała się przed kilku tygodniami broszurka wyborcza, nawołująca lud górnośląski do rzucenia rękawicy partyi centrowej i wybierania własnych posłów bez oglądania się na protektorów katolicko-niemieckich i bez obowiązującego dotychczas warunku, że poseł, głosami ludu wybrany, wstąpić musi w szeregi frakcyi niemieckiej; łatwo zrozumieć, że taki apel do zerwania tradycyjnego przymierza i założenia nowej, od centrum niezawisłej, partyi górnośląskiej w sejmie pruskim i parlamencie niemieckim, już ze względu na źródło swoje, niemile dotknął kierowników *Katolika* bytomskiego, zagrożonych w swych przywilejach. Podrażnione „lekcyą poznańską“ ambicje lokalne niewątpliwie w całej tej sprawie poważną odegrały rolę, *rozstrzygającym motywem politycznym stała się jednak owa scharakteryzowana powyżej chwiejność i lękliwość* nadających ton redaktorów, którzy najgłębiej są przekonani, że każdy manewr zuchwalszy jest błędem strategicznym i że pora do samodzielnej akcji wyborczej na Górnym Śląsku jeszcze nie nadeszła.

„Ukazała się tedy wspólna odezwa wszystkich redaktorów śląskich przeciw broszurze poznańskiej, *odezwa nieco mętna, elastyczna i połowiczna, jak wszystko prawie, co w oficynie Katolika bytomskiego w stanowczych chwilach się rodzi.* Już sama odezwa, ów gromadny protest przeciw broszurze poznańskiej, wydaje nam się stanowczo krokiem niepolitycznym. Strach przed ewentualną

opozycyą prasy górnośląskiej i przed secesyą posłusznych tej prasie wyborców był jedynym hamulcem na autokratyczne zakusy centrum katolickiego i w chwilach stanowczych skłaniał je niejednokrotnie do uległości. Obecna odezwa natomiast budzi w przewódcach centrowych przekonanie, że pogróżki prasy polskiej były tylko strachem na wróble, że nikt o zerwaniu przymierza nie myśli, bo wszyscy w sojuszu dotychczasowym widzą polityczną konieczność. *Manifest redaktorów górnośląskich jest grą nierozważną,* która w najbliższych wyborach może dać się dotkliwie we znaki, potęgując uroszczenia i butę katolików niemieckich.

„*Tymczasem powstanie prawdopodobnie w Katowicach nowe pismo ludowe,* które wobec polityki gazet górnośląskich zajmie stanowisko opozycyjne i rozwijać będzie program broszury poznańskiej.

„*Pismo takie, redagowane rozumnie, wyda niewątpliwie zdrowe owoce.*“

Ale stokroć biedniejszy pan *Koraszewski,* redaktor i wydawca „Gazety Opolskiej.“ Dostał się on z powodu swej uległości dla „Katolika“ w bardzo przykre położenie, wszedł w pokrzywy, które go strasznie parzą, a z których się jakoś wydobyć nie może. On, którego przed kilku laty, gdy po 8 miesięcznej kaźni opuszczał więzienie — sławiła Polska cała niby zbawcę polskiego ludu ślązkiego, obsypując zarazem laurami i brzęczącemi upominkami, którego uważano za najwybitniejszego szermierza narodowego odrodzenia ludu ślązkiego — musi dziś znosić ciężkie zarzuty, że właściwie na takie uznanie nie zasługiwał, że owoce swej pracy przedstawiał w piękniejszem świetle, niż na to zasługiwały. Teraz bowiem, gdy nareszcie miał praktycznie pokazać, co zdziałał dla polskości — znikł w konopiach, a raczej w pokrzywach „Katolika“ i ztamtąd woła: „Jeszcze nie pora, lud jeszcze nie odrodzony — jeszcze wysługiwać się musi niemieckiemu centrum!“ Gdyby był to zapowiedział otwarcie przed kilku laty, zapewne cały ogół polski nie byłby się tak entuzyazmował dla jego osoby.

Poci się też i męczy biedny wydawca „Gazety Opolskiej“, macha na wszystkie strony piórem i gwałtem stara się wykazać, że... czarne jest białem. Niestety, — a raczej Bogu dzięki — ogół polski nie tak naiwny, aby uwierzył temu, więc też uniewinnienia pana Kor. zamiast mu pomódz, ściągają jedynie nowe gromy na jego głowę. Źle zwłaszcza poszło mu z *Nową Reformą.* W odpowiedzi na przytoczoną przez nas w przeszłym numerze korespondencyą tegoż pisma z Górnego Ślązka pisał pan Kor., że już z tej przyczyny nie można zerwać z centrum, gdyż wywołałoby się tem walkę z księżmi ślązkimi na całej linii. Lud zaś nie potrafiłby odróżnić kwestyi Kościoła od kwestyi narodowej.

Na to twierdzenie **„Nowa Reforma“** tym razem wprost od siebie, taką daje mu naukę:

„Jestto argument, nie przeczymy, poważny. A przecież *jeżeli sprawa unarodowienia ludu polskiego na Śląsku nie ma być raz na zawsze zaprzepaszczoną,* to ludu tego nie możemy nadal wystawiać na wszechwładny wpływ kleru niemieckiego, bo ten kler dzisiaj już wywiera wpływ wynaradawiający i z czasem stanie się bez wątpienia *jawnem narzędziem hakatyzmu.* Byłoby więc zadaniem prasy śląskiej, aby *już dzisiaj* rozpoczęła pracę nad ścisłem wytyczaniem granic, dokąd sięgać ma wpływ księdza germanizatora jako duszpasterza, a gdzie zaczyna się wolność narodowa ludu polskiego. Jest jeszcze półtora roku do wyborów, więc na to starczyłoby czasu, aby wytłomaczyć ludności, że wybierając posłów narodowych, którzy mieliby obowiązek wstąpić do Koła polskiego nie wołamy ani „Precz z księżmi“, ani „Precz z centrum“. Owszem, — niech nawet ksiądz będzie posłem, *ale niech to będzie Polak i niech wstąpi do Koła,* które znowu utrzyma przyjazne stosunki z katolickiem centrum, o ile ono samo zadania tego mu nie utrudni.

„*Ale ani kościół, ani centrum nie mają prawa żądać od ludu polskiego, aby on posłami swoimi zasilał klub niemiecki,* choćby katolicki, w chwili gdy uruchomienie naszej armii narodowej w reprezentacyach ustawodawczych, jest naszym *najświętszym obowiązkiem. Sląsk nie może wiecznie pracować dla centrum,* choćby ono nawet jaknajprzychylniejszem było dla niego, — o czem, nawiasem mówiąc, wiele pisano w historyi bieżącej; Sląsk musi raz rozpocząć pracę na własną rękę i dla siebie samego.

„Takie przekonania, jedynie mogące położyć trwały fundament pod uświadomienie ludu polskiego, powinna prasa górnośląska wszczepiać w swoich czytelników i nie drzeć z obawy, że „lud zostanie sam“. *A czyż nie zostanie on sam, gdy duchowieństwo rozwinie dalej rozpoczętą już robotę germanizatorską?* Tutaj wyjątkowo dzielne jednostki wśród księży nic nie zrobią, gdy w grę wchodzi system, program polityczny, narzucany całemu duchowieństwu przez episkopaty. W takich okolicznościach lepiej niech ten lud „zostanie sam“ — bo zawsze pozostanie *sobą samym,* gdy w przeciwnym razie wcale go nie będzie, on jako lud polski przestanie istnieć, a na placu pozostanie kler niemiecki i centrum, które go pochłoną wcześniej lub później.

„P. Koraszewski narzeka dalej na brak inteligencyi polskiej na Sląsku.

„Jestto także argument poważny, ale nie o tyle, aby on wyrokował o dalszej niemocy ludu. *Ten lud musi sobie znaleść kandydatów poselskich. — choćby nawet z pośród siebie samego.* Chłop śląski jest inteligentny, włada doskonale niemieckim językiem, ukończył szkoły; dlaczego nie miałby zostać posłem, kiedy „inteligent“ zadania tego podjąć się nie chce?

„W rozumowaniu p. Koraczewskiego jest jeden *błąd zasadniczy.* On wynajduje wszystkie możliwe argumenty, aby uzasadnić dalsze „status quo„ wyborcze i polityczne na Sląsku. Ale przeciwko temu przemawia *nowe groźne niebezpieczeństwo zniemczenia Sląska przez jego dotychczasowych sprzymierzeńców,* lub skutkiem ich bierności. Wobec tego zaś lud polski *musi zmienić swoje stanowisko i wobec kleru niemieckiego i wobec centrum, — na to rady niema.*

„Podoba nam się jedynie gotowość, jaką okazuje p. Koraszewski do narad zenia się z czasopismami, głoszącemi hasło: „precz z centrum“. Przy dobrej woli, której przeciwnicy polityczni, na gruncie narodowym stojący, odmawiać sobie nie powinni, konferencya taka mogłaby przynieść pewien rezultat. A jeszcze czas na to, - - jeszcze wiele zrobić można.“

Nam niestety — ta dobra wola pana Kor. do porozumienia się z nami — nie jest jeszcze znaną. Czekamy na to. Podobnie ocenia stanowisko redaktorów górnoślązkich krakowski **„Głos Narodu“**, pismo szczerze katolickie i narodowe, świetnie redagowane — odkąd kierownictwo jego objął pan dr. Beauprè, dawniejszy redaktor „Czasu“. „Głos Narodu“ rozpoczął w sprawie ślązkiej szereg artykułów; w pierwszym tak pisze:

„Broszura wydawcy poznańskiej „Pracy“ pod tyt. „Pobudka“, wzywająca polski lud górnośląski, ażeby odtąd w miejsce niemieckich posłów centrowych, którzy zbyt często zapominali, że, są reprezentantami polskich wyborców wybierał wyłącznie własnych polskich posłów, wywołała bardzo ożywioną dyskusję i polemikę w prasie polskiej. *I rzecz dziwna a dla ogółu polskiego po za granicami zaboru pruskiego trudna do zrozumienia:* słuszna ta rada „Pracy“ napotkała w prasie śląskiej już to na wyraźną niechęć, albo też na otwartą, wprost zaciekłą opozycyą. Z opozycyą taką, ubraną dla nadania jej tem większego znaczenia w formę wspólnego oświadczenia, wystąpił „Katolik“ składający się dziś z czterech organów: „Dziennika Sląskiego“, „Katolika“, „Gazety Opolskiej“ i „Nowin Raciborskich“. Te cztery pisma tworzą jedną całość... Z oświadczenia tego dowiadujemy się ku niemałemu zdumieniu, że polski lud górnośląski nie jest jeszcze do tego stopnia odrodzonym narodowo, iżby przewodnicy jego mogli się odważyć na samodzielną polską akcyę wyborczą i że wskutek tego polski Górny Sląsk na długo jeszcze wybierać będzie posłów do niemieckiego centrum.

„Zapowiedź ta znajdzie zapewne poklask tylko w tych kołach, które jak ognia boją się zerwania „sojuszu“ między ludnością polską w zaborze pruskim a potężnem centrum i w zerwaniu takiem dopatrują się nawet usunięcia „ostatniej deski ratunku“ dla tamtejszej ludności polskiej, *a więc koła, które nie ufają własnym siłom swego społeczeństwa tych sił nawet należycie rozbudzić nie potrafią,* natomiast wiecznie oglądają się na obcą pomoc, zawierając na wszystkie strony nieraz dla sprawy naszej szkodliwe kompromisy i przymierza. *Ogół, zdrowo myślący, przyjmie ją, nietylko z zdziwieniem, ale nawet z przykrem uczuciem rozczarowania.*

„Praca nad odrodzeniem Górnego Sląska trwa już właściwie 40 lat. Wprawdzie w samym swym początku spaczoną została przez oddanie wielkiej tej dzielnicy z przeszło milionową ludnością polską pod władzę niemieckiego stronnictwa — *lecz mimo to, dosyć chyba było czasu na rozbudzenie tam wśród*

ludności polskiej poczucia narodowego. Zwłaszcza zaś od lat 10, gdy akcya odrodzenia przybrała bardziej ożywioną formę i gdy wywołane tam kilkakrotnie zatargi wyborcze między centrum a polskimi wyborcami kończyły się zawsze tryumfem polskiego ludu — ustaliło się wśród ogółu polskiego mniemanie, że prastara ta dzielnica polska lada chwila zerwie krępujące ją pęta niemieckiego stronnictwa, połączy się z resztą społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim i da przez to wspaniały dowód żywotności i siły polskiego ducha narodowego.

„Tymczasem dziś się dowiadujemy, że na razie jeszcze o tem mowy być nie może, co więcej, że myśl politycznego połączenia z Wielkopolską nie jest bynajmniej sympatyczna przewódzcom tamtejszej ludności polskiej, że wolą wprost posłów centrowych — niż własnych polskich..

„I to z jakich przyczyn i powodów?

„Tych, które redaktorowie śląscy podają w swem oświadczeniu, *żadną miarą za słuszne i trafne uważać nie można.* Mimowoli też odnosi się przy czytaniu tego elaboratu naszpikowanego niewłaściwemi inwektywami i insynuacyami pod adresem wydawcy „Pracy“ wrażenie, iż obok wymienionych nam pobudek istnieć muszą jeszcze inne dla autorów oświadczenia ważniejsze. I niestety domysł to słuszny zupełnie. Kto zna stosunki śląskie łatwo te „ważniejsze przyczyny odnajdzie między wierszami oświadczenia, *a za niemi prywatę jednostek, nadających dziś kierunek w sprawie odrodzenia Slązka.*“

„Głos Narodu“ zapowiade, że ciężki ten zarzut, uczyniony prasie śląskiej i jej kierownikom, w następnych artykułach bliżej uzasadni. Powtórzymy i te jego wywody.

Niemniej dosadnio piętnuje niepolskie zachowanie się tych panów nieomal cała prasa polska, a mianowicie *„Goniec Wielkopolski“ — „Dziennik Berliński“ „Gazeta Grudziądzka“, „Wielkopolanin“, „Dziennik Kujawski“ „Nowa Reforma“, „Wiek XX“, i t. d. i t. d.*

„Gazeta Grudziądzka“, przedstawiwszy w dłuższym artykule obecną sytuacyę na Slązku i germanizatorskie zakusy stronnictwa centrum, tak się odzywa:

„Na Górnym Slązku powiedziała sobie wielka część tych, *którzy szczerze kochają swoją mowę ojczystą*, że chyba już przy przyszłych wyborach będzie trzeba wybierać katolików *Polaków narodowców*, którzy *do partyi centrum już należeć nie powinni. Takie postanowienie pochwaliło prawie całe społeczeństwo polskie.* I prawie wszystkie gazety polskie rozpisały się o tej sprawie bardzo szeroko.“

Jakież to więc zgodne jednomyślne potępienie antinarodowej „roboty“ panów redaktorów śląskich!!!

„Orędownik“ zmartwił się najbardziej tem, że nawet „Dziennik Berliński“, który niedawno atakował „Pracę“ z innych powodów, teraz pochwala jej zabiegi około odzyskania Slązka i szczerze ją popiera. To bowiem dla „Orędownika“ rzecz więcej niezrozumiała, że dla dobra sprawy narodowej mogą iść ręka w rękę ludzie odmiennych zresztą przekonań. Zaraz też zaczął się umizgać do „Dziennika Berl.“ i tłomaczyć mu, że źle robi, popierając w tej sprawie „Pracę“. Przecie on to — „Dziennik Berl.“ pierwszy wydał hasło „precz z centrum“, a „Praca“ „ukradła“ mu to hasło. Już z tej przyczyny powinien tedy — zdaniem „Orędownika“ „Dziennik Berl.“ dziś zwalczać „Pracę“ i *na przekór* wołać: *„nie zrywać z centrum!“* Tak bowiem zawsze postępuje „Orędownik“. Ale pan Szymański niema już szczęścia w tej kampanii, bo oto i ze strony „Dziennika Berl.“ stanowcza spotkała go rekuza: organ berliński nazywa umizgi „Orędownikowe“ wprost *„zabawnemi“* i twierdzi o nim, że o *bezstronności dziennikarskiej*, jaką np. okazuje „Kur. Poznański“ — nawet pojęcia nie ma. Między innemi czytamy w ostatnim jego artykule, co następuje:

„Całe społeczeństwo polskie śledzi z zajęciem i z przychylnością ruch polski w Berlinie, w Westfalii i nad Renem przeciwko złym wpływom germanizacyjnym ze strony niemiecko-katolickiej, całe społeczeństwo polskie zajmuje się też więc słusznie *sprawą śląską.*

„Nawet gdyby „Dz. Berl.“ nie był pierwszy rzucił hasła „Precz z centrum“, wywołującego żywszy w ostatnim czasie ruch narodowy na G. Slązku, *miałby obowiązek* obecnie, po odezwie pism śląskich, poruszone w niej sprawy rozbierać obszernie i wszechstronnie.“

„Goniec Wielkopolski“, który w każdym niemal numerze ciętem piórem wykazuje bezpodstawność i naiwność argumentów oświadczenia „Katolika“ pisze pomiędzy innemi:

„Przytacza p. Koraszewski list pewnego kapłana, który swego czasu radził, żeby zaprosić na naradę redaktora „Dz. Berlińskiego“ i porozumieć się z nim w sprawie górnośląskiej.

„Choćbyśmy byli chcieli się porozumieć z kierownikami „Dzien. Berl.“ lub „Pracy“, pisze „Gazeta Opol.“, to zaiste do kogo mieliśmy się zwrócić? — Wiemy bowiem, że współpracownikami tych pism są „Narodowcy“, „Młoty“ i „Topory“ — ale w czyich rękach znajduje się naczelne kierownictwo, do obecnej chwili nam nie wiadomo.

„Pytamy się p. Koraszewskiego, czy wie o tem, że np. p. *Korfanty*, obecny redaktor „Pracy“, w sprawach górnośląskich, *szukał porozumienia się z p. Napieralskim*, redaktorem „Katolika“, lecz szukał go naprożno, bo p. Napieralski w każdym razie „ma swój rozum“ i — niepotrzebuje się z nikim porozumiewać, chyba, że chodzi o danie podpisu na „oświadczenie ostatniej doby.“

Lecz dość chyba już dowodów, jak to jednomyślnie szczerze narodowe gazety potępiają odezwę panów Napieralskiego i Sp.

Że lud polski wszędzie powinien śmiało bronić swych praw narodowych, za tem przemawiają codziennie najrozmaitsze względy. Tam np., gdzie sytuacya nie jest jeszcze wyklarowaną, gdzie lud zanadto liczy się z „panami niemieckimi“ — niższe władze pruskie doboszują nad nim, jak włodarze nad parobkami. Posłuchajmy oto, co donosi mazurska **„Gazeta Ludowa“**;

„We środę rano przychodzi do naszej ekspedycyi obywatel z Bartniej strony tuż przy Szczytnie i zapisuje sobie „Gazetę Ludową“ na dwa miesiące. Daliśmy mu w podarunku dwie książki: „Czerwony rozbójnik“ i „Trzej wędrowcy“, nadto kilka gazet z prośbą, aby je rozdał między znajomych i zachęcił ich do zapisania „Gazety Ludowej“. Pan Brzensk wyszedłszy od nas, spotkał na rynku znajomego, któremu powiedział, że jeżeli zapisze „Gazetę Ludową“ otrzyma w dodatku dwie książki i pokazał mu owe książki i gazetę. Spostrzegł to *żandarm* w pobliżu stojący, zbliżył się do p. B. i pyta go, co to za gazety i od kogo one pochodzą. Pan B. odpowiedział, że gazety te sobie zapisał.

„To żandarmowi nie wystarczyło, ale prowadzi p. Brzenska do landrata, gdzie go znowu wypytują, co to za książki i gazety, a jeden z urzędników powiedział: „No, tożcie wy dobry „kunda“, kiedy trzymacie „Gazetę Ludową“. Ale pan Brzensk tak łatwo się nie wystraszył, tylko odpowiedział: „A choćbyście ze sto flintami na mnie szli, to się nie boję i „Gazetę Ludową“ trzymać będę“.

„Co najciekawsze, że żandarm przyszedł następnie z panem Brzenskim *nawet do naszej ekspedycyi i zapytał, zkąd przychodzimy dawać gazety celem dalszego rozdawania i że do tego potrzeba pozwoleństwa (?) burmistrza lub landrata.* Ponieważ nie wiedzieliśmy o wysokiej godności stojącego przed nami żandarma, tytułowaliśmy go „panie wachmistrzu“ (Herr Wachtmeister), na co tenże się oburzył i powiedział, że jest „nadwachmistrzem“ (Oberwachtmeister). Wytłomaczyliśmy tedy panu „nadwachmistrzowi“ grzecznie, ale bardzo stanowczo, że wdał się w nie swoje rzeczy i że my lepiej wiemy, co wolno, a co nie wolno. Na to pan „nadwachmistrz“ opuścił naszą ekspedycyą.

„Ben Akiba powiedział, że wszystko było na świecie. Tego zapewne jednak jeszcze nie było, aby za zapisanie gazety polskiej prowadzono człowieka niby zbrodniarza do landrata. Stało się to dopiero w powiatowem mieście w Szczytnie, we środę, dnia 30-go października roku Pańskiego 1901 — w pruskiem państwie kultury.“

Naszem zdaniem — nie jest to znów nic tak nowego. Podobne wypadki zachodziły i zachodzą na *Slązku* bardzo często, naturalnie jeżeli chodzi o polskie pismo. Ustaną dopiero wtedy, gdy *cały lud* polski będzie należycie świadomy swych praw, gdy każdy chłopek i robotnik polski sam będzie umiał dać panu żandarmowi należytą odprawę. Taką zaś świadomość praw dać może ludowi — *walka wyborcza.* *M. B.*

Ty nie zaginiesz.

Ty nie zaginiesz Ukochana, Święta,
Choć grom po gromie dzisiaj w Ciebie bije,
Anioł poświęceń rozkuje Twe pęta
I „Nieśmiertelna“ imię Twe wyryje.

Ty nie zaginiesz, bo Ciebie ocali
Miłość Twych dzieci czynem objawiona. —
Wiara i praca kamień ten odwali,
Którym okryta przyszłości zasłona.

Ty nie zaginiesz, bo w strasznej tej męce
Serca nie słabną i duch nie upada —
W jedności bratniej wziąwszy się za ręce
Nas nie zatrwoży mara zwątpień blada.

Ty nie zaginiesz — jasnym nam płomieniem
Świecisz — i świecić będziesz do ostatka —
Życia naszego celem — poświęceniem
Ty Święta — Wielka — Przewodniczka-Matka.

O nie zaginiesz! choćby przeciw Tobie
Całego piekła zebrały się siły —
Dziś — Męczennica i w smutku żałobie
W ranach co mężną pierś Twoją pokryły;

Nie zginiesz przecież, lecz jasna i czysta
Wytrwasz — nie padniesz w męczarniach do [końca —
Aż kiedyś — kiedyś gwiazda promienista
Błyśnie nad Tobą, o Matko cierpiąca.

Marya Sokolnicka.

Zwątpiliśmy wszyscy...

„Nieraz ja stojąc nad przepaścią życia,
„Pytam — co rzucić w te otchłanie szare?
„Czy wiarę w siebie — czy też w ludzi wiarę?

Virchlicky.

I.

Każdy niepokój ducha — jest początkiem walki wewnętrznej. Musi wtedy zwyciężyć dobro lub zło — prawość lub nieuczciwość — idea lub — samolubstwo. Zależy od tego, co w swoim pierwiastku duchowym przeważy — co silniejszem tętnem uderzać pocznie, co jaśniejszą smugą światła błyśnie nad tym celem, do którego dana sprawa prowadzi.

Walk ducha — przeżywa się wiele.

Uderzają one na nas nieraz zbyt silnie — zjawiają się za często, choć nie pożądane, a zabierają nam tyle życia za sobą i dla siebie, iż prawdziwie — są one latami chwil i właściwie na nie, lata życia powinno się dzielić.

Życie ludzkie dlatego jest ciągłą i nieustanną treścią do wielkich dramatów lub tragedyi, iż jest obrazem walki ducha z materyą i w danym razie daje świadectwo czem człowiek jest — czem być może. Zwyciężył duch — idea — cnota — wtedy człowiek jest najszlachetniejszą istotą na ziemi. Zwyciężyła namiętność — zło — materyalizm a zatem człowiek jest nikczemnem stworzeniem.

Czyli się o to nie pytamy od kolebki do mogiły?

Więc mamyż wierzyć w siebie czy w ludzi — jak woła poeta z niepokoju skargą?

Wierzyć w ludzi!.. Jak piękne hasło — lecz ileż razy bywa złamane, zachwiane, zgaszone i zdeptane.

Jak się ta gazowa, tęczowa, świetlana tkanka wiary w ludzi rychło zrywa — brudzi — niszczy i w strzępach opada co raz niżej, co raz niżej, aż nic z niej nie zostanie!

Wiara w ludzi — to pryzmat pełen promiennych świateł i barw. Jak długo przez niego patrzymy na świat, tak długo kochamy go, widzimy w nim dobro, piękno i prawdę, ale — gdy rzucimy okiem bez szkła optymizmu, ileż bólu doznajemy?

Zaprawdę! Nieraz sobie człek stawia pytanie, czy nie lepiej żyć i istnieć w odosobnieniu — samotności i wierząc w ludzi nie zbliżać się do nich, bo i najświetniejsze talenta, artyzmy — najpotężniejsze siły naukowe, mają swoje mętne i brudne rysy — nizkie i fałszywe czyny. — Słowem — niema nikogo *bez ale.*

Rzekłszy prawdę, to ale u jednych bywa bardzo wyraźne i dolegające drugim, u innych ukryte i ubrane rozmaitemi konwencyonalizmami, lecz zawsze jest i na nie trzeba patrzeć z tem przeświadczeniem, iż i my bez ale nie istniejemy.

Jednak właśnie jest tak, iż my zawsze patrzymy i szukamy za temi wadami u innych, a bezustannie o nich mówimy, przybierając pozy ludzi stojących o całe niebo wyżej od wszystkich w około.

Mówimy o ludziach źle — z pessymizmem, goryczą, niechęcią w domu, przy dzieciach, sami z sobą, przy gościach, przy podwładnych — z przełożonymi — wszędzie gdzie się tylko da — gdzie niby to społeczno-narodowe sprawy poczną nas zajmować, zaraz wystawia łeb straszne widmo pessymizmu i niesie swój sztandar niewiary w ludzi jako godło wszelkich nieszczęść — smutków — cierpień ludzkości.

Narzekają wszyscy, wszędzie, zawsze

— Dziś inny świat — mówi staruszek pochylony i kiwa z smutkiem na ludzi dzisiejszych.

— Dawniej lepiej bywało — rzecze babunia w czepeczku i opowiada jakie były dzieci dawniej, jakie panny, jacy kawalerowie, mężowie, sąsiedzi, przyjaciele, sługi, lud — słowem wszyscy.

— Teraz niema szczerości, prawdy, życzliwości, przyjaźni, powiada znów jakiś pessymista tegoczesny i maluje świat — naród — ludność — społeczeństwo jako wampiry krwi chciwe, jako stado dzikich hyjen puszczonych na glob dla żarcia i pożarcia wszystkiego.

— Kto ma pieniądze, ten dziś szanowany, ceniony, poważany, a kto biedny nie wart nic — szepce niejeden z goryczą cierpką, która wypłynęła z bolu życia.

— Szkoda dziś serca, duszy, myśli — poświęcenia mówi ten i ów. Nie o to ludziom idzie, aby szli wyżej i dalej, lecz aby jedli i pili, pili i jedli.

— Nie można wierzyć nikomu — nigdy — nigdzie. Każdy kłamie, obmawia, przypodchlebia się, jeśli mu trzeba, depce i pluje, gdy nie potrzebuje nas.

— Jak ja mogę żyć z wiarą w siebie i w ludzi, gdy ich czyny nie są zgodne z memi zasadami, gdy oni inną drogą poszli, a mój znak życia ściele się inaczej i ku innej gwiazdzie prowadzi?

Tak mówią w około.

Wiara w ludzi — to marzenie!

Zwątpiliśmy wszyscy.

Rzuciliśmy w przepaść, w tę szarą otchłań życia wiarę w szlachetne serca bratnie, w zgodę i miłość wzajemną, wspólność sił i prac wielkich, więc też idziemy smutni — rozżaleni — rozdzieleni — sami.

Takie zwątpienie rodzi wiele chorób, win, za które jest się odpowiedzialnym wobec obowiązków postawionych przed ludźmi.

Lecz kto o tem myśli?

II.

„Najszlachetniejszy kamień jest, który kraje
„Wszystkie inne, a siebie zrysować nie daje,
„Najszlachetniejsze serce jest to, które właśnie
„Raczej się da skaleczyć — niż samo zadraśnie.

El.—y.

Właśnie ta ma być różnica serc szlachetnych i ludzi zacnych między kamieniami twardemi, iż nie ranią, nie kaleczą, nie krają!

Gdyby wszyscy w społeczeństwie zrozumieli to i pojęli dobrze — świat zostałby odrodzony i połowa cierpień jego zanikłaby.

Lecz co mówimy? Nie połowa — zanikłyby cierpienia wszystkie, owe straszne zbrodnie, zdrady, nikczemności, upadki, przestępstwa, o które my się wiecznie kaleczymy i ranimy, a zostałyby tylko dwa skrzydła niedoli zwieszonej nad życiem człowieka — skrzydła rzucone ręką Boga, czarne — ciężkie, lecz nie dające się zniweczyć.

Choroba i śmierć!

Wiemy zkąd ich początek, wiemy dlaczego trwać będą do końca.

Mamy z nich dość do dźwigania, do opłakiwania, do hartowania serc w bolu i tęsknocie.

Biorą jeszcze inni pracę i trud życia jako brzemię kary i ciężary te uważają za źródła pessymizmu. Lecz na to zgodzić się nie można.

Nieszczęścia one nie niosą i nigdy ich za cierpienie uważać nie należy.

Prócz chorób i śmierci — niema innych bolów i cierpień na ziemi danych nam w dziedzictwo. Są tylko okropne przewiny i upadki ludzi — względem ludzi i te — zmieniają życie w pasmo mąk nieustannych, w koronę cierniową krwawiącą ludzkość od dawna i kto wie jeszcze na jak długo.

Ludzie są źli. Wiemy o tem. Od ludzi mamy do zniesienia ogromnie

wiele, częstokroć tak niewinnie, iż pytamy ciągle, bez ustanku — za co nam cierpieć tyle dają, nieraz połowę życia naszego zejdzie na utarczce z nałogami i wadami ludzi, a ostatecznie czujemy, że nam serce zamarło w piersiach i — radzibyśmy umrzeć tylko dlatego, by skryć się pod darń zieloną przed złością ludzką.

A jednak — nam trzeba ludzi kochać.

Owa przypowieść ewangieliczna o młodzieńcu, który pytał, co czynić, aby dojść do Królestwa niebieskiego, to wiekopomna ewangelia życia szlachetnie pojętego.

— *Będziesz miłował bliźniego twego jak siebie samego!*

Wszystko zło dlatego istnieje, rozlewa się falą coraz większą wśród nas — zatapia znak kiełkującego tu lub owdzie szczęścia — łamie nas i poniża, dlatego tylko, iż niema tu owej wielkiej ewangelicznej Miłości bliźniego, o której Chrystus rzekł młodzieńcowi i którą nam podał jako spuściznę.

Kochać ludzi — to nie rzecz dowolna, ani jakaś cnota — jakieś poświęcenie się lub czyn wielkoduszny. *To obowiązek!*

Ludzi kochać trzeba i kochać należy, bez względu na to jakimi oni są. Nie byłoby niczem wielkiem kochać ludzi dobrych — zacnych poczciwców — szlachetnych, prawych, rzetelnych, dobrych, którzyby byli jak z marmuru kuci w zasadach i czynach chrześciańskich.

Ale kochać tych ciemnych, głupich, złych, próżniaczych, złośliwych, zazdrosnych, odpłacających nam najgorszem za dobro — to przecież rzecz nie łatwa, a jednak konieczna.

Mickiewicz rzekł:

„Dobry człowiek jako król — szuka kogo wieńczyć.

„Zły podobny do kata — szuka kogo męczyć.“

Otóż zapytajmy sami siebie — jakimi jesteśmy? Czy tymi, co wieńczymy, czy tymi, którzy chcą męczyć i czernić, nienawidzieć i oddalać od siebie?

Ah! jaka to ważna sprawa do zbadania, do rozpatrzenia, zrozumienia i — poprawy!

Jest jeden talizman święty i czarownie piękny, który każdemu z nas, jeszcze dziecku, dają na drogę życia i z nim jak z tarczą ochronną przeciw pociskom nieprzyjaciela z domu w świat wyprawiają. Komu go zaszczepią tak głęboko w sercu, iż go nic i nikt nie zetrze, nie wydrze — ten wytrwa.

Komu dadzą tylko powierzchownie, lekko, dla parady, lub dla zwyczaju, ten go zatraci i zniszczy zbyt wcześnie. Talizman ten — to *Miłość bliźniego.*

Jaka szkoda, iż w obecnej dobie tak mało o niego dbają i troszczą się! Jak przez to wiele łez i cierpień, krzywd i mordów, zdrady i nikczemności — nocy i sromu, iż ludzie żyją bez miłości ludzi, bez wiary w ludzi, bez szacunku należnego dla każdej jednostki człowieczej!

Gdyby było można zrobić wśród nas operacyą wielką i śmiałą — wyjąć serca zamarłe dla bliźnich i rodaków, a dać nowe, pełne miłości — jakieby inne były karty codziennego życia i spraw podniosłych, wielkich?

— Cha! cha! śmieje się ten i ów — chcesz nas katechizmu uczyć? chcesz nam przestarzałą formułką serca rozbudzać do kochania ludzi? Dobryś sobie. Idź — miłuj bliźniego, jak siebie samego, a on ci się odpłaci najczarniejszą niewdzięcznością za to — nieuczciwością, obmową, zdradą, podstępem! Idź! kochaj bliźniego, jak siebie samego, a on ciebie skrzywdzi, podopce, dzieci twoje zepsuje, rodzinę twą znieważy — idź, kochaj go, a on nikczemy, zły, podły, gad obrzydliwy nie wart znaku chrztu, nie wart nazwy człowieka i co? co?

— Jednak trzeba go kochać.

— Dlaczego? dlaczego ja mam go kochać i wiele przebaczyć, gdy on mnie nic nie przebaczy. Jeśli ja żądam od siebie, ażebym był uczciwy, zawsze i wszędzie na każdym kroku, to mam prawo wymagać i żądać tego samego od ludzi. Oni zaś robią inaczej. Sami tarzają się w kurzu i brudzie, plamią w bagnach i kałużach, a na innych pokazują najmniejszą plamkę, krzycząc: Oto patrzcie! zrobił to! zrobił tak! pomyślał źle! Cały świat jest jak próchno, trociny, zgnilizna.

Na taką gorycz serca, taki zmrok ducha — poczyna się nie jedna myśl zniżać i niejedno serce zamiera w zwątpieniu.

Jakiś wielki — daleki — niezmierzony obszar ziemi rysuje się przed nami, a na nim nic — tylko kłosy bez ziarn, kwiaty bez korony płatków — źródła bez wód.

To my!

Rzuciliśmy wiarę w ludzi, ich serca, ich cnoty, ich zalety i siły ducha, więc nie kochamy ich, bo miast miłości dla nich mamy pogardę, niechęć, niewiarę, a pesymizmem trujemy się co godzina, co chwila.

Żadna wielka idea nie roztli się u nas słońca odblaskiem, bo zaraz ją zgasi — pesymizm. Żadna wielka praca nie będzie przeprowadzona, bo zaraz ozwie się tysiąc kruków kraczących straszliwie: Co? chcesz robić? z kim? dla kogo? Zaczynasz? Nie znajdziesz dziesięciu, pięciu, dwóch, jednego nie znajdziesz do pomocy! Wyśmieją cię — obsądzą, oczernią, i dla kogo się będziesz męczył? do kogo zbliżał? źli i źli naokoło, bez końca, wszędzie.

Jakże czarno zdaje się wtedy naokoło! Jak przygniatać poczyna nas noc zwątpienia i trwogi, czyli istotnie wśród złych ludzi można co robić, żyć dobrze i mieć serce w piersiach?

Na to dzwoni nam echo pieśni dawno wyśpiewanej przez Lirnika Mazowieckiego, który rzekł:

Święci w Zakonie Bożym nowym,
Nie **pychą** walczą, lecz **pokorą**,
Nie mieczem walczą, ale słowem,
Nie **dają rany**, ale **biorą**!

III.

Znamy ludzi, czy nie znamy?

Odpowiedzmy na to pytanie szczerze.

Każdy więc — prawie od najmłodszych powie z siłą przekonania, iż zna ludzi. Każdy też wyleje z serca cały potok słów gorzkich i cierpkich mówiąc, że niema dziś dobrych na świecie. Student będzie wołał, iż niema profesorów sprawiedliwych i dobrych, sługi powiedzą niema dobrych państwa, panie poczną chórem odpowiadać, iż niema ani jednej dobrej sługi w teraźniejszym świecie, urzędnik przyzna szczerze, że nie można ze stronami postępować uczciwie, bo tylko przekupstwem wszystko chcą robić, kapłani z bólem szepcą, że ich praca bardzo idzie na marne, chlebodawcy żalić się będą na czeladników, ci na majstrów, literaci na publiczność, czytelnicy na literatów, słowem — wszyscy są niezadowoleni, skwaszeni, rozżaleni i — biedni.

Jeśli zaś odważy się ktoś przemówić cokolwiek w mniej molowo-tragicznym tonie, zakrzyczą go zaraz: oho! jaki optymista! Jeszcze nie zaznał goryczy i myśli, że tu same róże, a o kolcach zapomina. Jeszcze mu życie nie dało poznać swej właściwej, łez pełnej i cierni pełnej drogi, jeszcze też ludziska nie wysunęli swoich pazurków, ale wkrótce zasłona spadnie — ludzie okażą się takimi, jakimi są.

Istotnie — zdaje się chwilami — straszna to rzecz żyć!

Wśród złego świata — ludzi złych — czasów najgorszych, bezprawia i upadku moralnego co tu robić?

Odosobnić się — zamknąć — stworzyć miliony małych światów zamkniętych od świata wielkiego? Oddzielić się od rodaków — ojczyzny i żyć sobie — dla siebie — dla swoich?

Wszak to początek trucizny samolubstwa, wszak to droga najcięższej przewiny w obec obowiązków społecznych i narodowych.

„Dwie są *melancholie:* jedna jest *z mocy*, druga ze *słabosci*; pierwsza jest *skrzydłami ludzi wysokich*, druga *kamieniem ludzi topiących się.*“ (Słowacki).

Ludzie, którzy są rozgoryczeni, złamani, zachwiani, a z tem wszystkiem posiadają ową melancholię zwątpienia, która płynie ze *słabości*, ci — zawsze i wszędzie są niebezpiecznymi wśród społeczeństwa, bo niosą z sobą zarazek strasznej choroby i jad trucizny — niewiary.

Dziś serca ludzkie i tak zawsze dość biedne, jeszcze więcej ubożeją i karleją. Dziś życie ludzkie i tak zawsze dość bezkwietne i pełne głazów twardych — staje się coraz bardziej biedne i ciężkie do udźwignięcia. Ale gdy jeszcze wkrada się do niego zwątpienie, owa bezlitośna fala, która nietylko, że gasi iskrę po iskierce, ale poddmucha i podmywa nieraz zda się niezachwiane zasady — jakże łatwo omylić się w sądzie — fałszywie drugich ocenić i znaleźć pełno wad i ułomności, a żadnej cnoty!

Gdzie zamieszkało zwątpienie, tam zgasła wiara, gdzie niema wiary, tam obejmuje berło rządu owa melancholia, o której powiada Słowacki, iż jest „*kamieniem ludzi topiących się.*“

Istotnie to są ci, którzy ciężarem głazu zwątpienia przyciśnieni, opadają coraz niżej w krainie wiary w ludzkie serca, którzy widzą wokoło tylko tyle celu życia, ile widnokręgu dojrzy oko ludzkie po zachodzie słońca i zagaszonym ostatnim błyskiem światła dziennego.

Lecz jakże niebezpiecznie ze szczęściem ludzkiem igrają ci, którzy zwątpieniem swojem i niewiarą w ludzi, nietylko, że nie kryją się, lecz przeciwnie, zda się umyślnie odziewają się jego szatą, niby jakimś płaszczem cierpienia i bólu, niby osłoną wyższych nad codzienną pospolitość uczuć, bo ci sieją ziarno gorczyczne, które choć drobne — może urość w wielkie i rozłożyste drzewo. Ale na tem drzewie ani ptak gniazda nie założy, ani z jego owoców ludność posiłku nie weźmie, ani w jego cieniu wędrowiec zmęczony nie odpocznie w spokoju.

Niby to taka moda dziś — lepszy ton, szyk, wywyższenie się nad innych, plwać na wszystkich i powtarzać raz po raz: głupi świat, ludzie źli, życie marne i koniec na tem.

O! tak żyć, to bardzo łatwo!

Mieć w życiu tę melancholię zwątpienia i pesymizmu, która jak kamień waży i cięży, która ciągnie w dół, po ziemi wlecze, szarga po pustyni piaskach i ani jednego celu do poświęcenia nie wskaże, ani jednego błysku dla zapału nie zatli — to żyć bardzo łatwo!

Ale Ujejski mówił inaczej:

Ot! tak umrzeć, bez żadnych na ludzi uskarżeń,
Z piersią pełną natchnienia — z głową pełną marzeń.

O tak! żyć z tą melancholią, która jest skrzydłem ludzi silnych, która wznosi myśl i uczucie nad egoizm i nicość, która skupia tysiące myśli, zamyka je przed wirem świata, ukrywa je przed bezdusznością i lekkością, snuje siecią złotą na wielkie, olbrzymie przędziwo życia wewnętrznego — bogactwo ducha — pełności wiary i czynów dla bliźnich — — to jest istotnie mieć skrzydła wielkie i płynąć niemi wyżej nad grzechy — dalej nad samolubnych kół granice. To jest żyć, bez żadnych na ludzi uskarżeń, to jest kochać społeczeństwo i rodaków, to jest być owym lekarzem, który choć rany widzi — nie odwraca się od nich, lecz leczy i goi.

Gdybyśmy lepiej duszę ludzką znali — gdybyśmy odkryli tajniki jej życia — zrozumieli ile wpływów, przykładów, szarpań i omyłek nią rzuca, targa i kaleczy ją, zanim ona stanie się tak zła jak jest, tobyśmy mieli wielką litość nad ludźmi złymi, a nie przestawali ich kochać.

A my tak łatwo — tak śmiało, odważnie i nawet stanowczo wołamy:

— Znamy ludzi — znamy świat — wszystko złe — nikczemne, głupie, zepsute i koniec!

Dlaczego tak mówimy?

Bośmy się nie wznieśli ani o jeden szczebel wyżej nad ułomności powszechne, bo sami jesteśmy źli — zazdrośni — pyszni i jesteśmy tymi bocianami, które nie patrzą na kwiaty i róże, ale szukają żab i płazów, bośmy przywykli do narzekania mimowiednie, z małpią skłonnością naśladowania, jak martwe mury odbijające echo tego, co słyszą.

Wzrośliśmy wśród posiewu nie miłości — ale nienawiści bliźniego — kołysano nas prawie wieczną skargą na złość ludzką — miast wskazywania cnot — mieliśmy zawsze zło przed oczyma, więc czy możemy rzec, iż dano nam talizman święty do duszy i że nie mamy melancholii ludzi topiących się?

„Ten temu brat — ten temu swat“ to już piosenka bardzo dawna, ale tylko piosenka. Ludzi dobrych, szlachetnych widzi się gdzieś w mgle, w dali — w przeszłości promiennej, na kartach historyi, w legendach i baśniach ludowych, w dramatach lub powieściach, a życie ciągle — co dzień, co chwila powtarza:

— Wszędzie złość — brud — nikczemność — fałsz!

Tak idzie pochód ludzkości od dawna.

A życie mogłoby być promiennojasne i anielsko-ciche. *S.*

SZUM JESIENI.

I.

Poprzez błota i moczary,
Poprzez puste hen ścierniska,
Otulona w obłok szary,
Wlecze się już jesień mglista.

To na pustem polu stanie
I rozgląda się w około,
Po szerokim, smutnym łanie
Zapłakane schyla czoło.

To znów czasem w swej zadumie
Tu pod same wrota chaty,
W delikatnym wiatru szumie
Płynie, jakby duch skrzydlaty.

I przez szyby nizkie, mętne
Zapłakanem okiem wgląda,
W wnętrze izby ciemne, smętne,
Co jak cichy grób wygląda.

I odchodzi smutna, cicha,
Otulona w obłok — drwiąca —
I przez sad się wlokąc wzdycha
I pożółkłe liście strąca.

II.

Wzrok mój tęskny, nieskończony
W dal wyciągam mroczną, ciemną;
Gdzież mój raj jest wymarzony?
Gdzież te sny z tęczą promienną?...

Wiatr jesienny tylko płacze,
Pośród mogił szuka wieści,
Rzewną pieśnią zakołacze
I zeschnięty liść szeleści.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Jak przelotne to marzenie
Tak zniknęła chwila złota...
Wiatr rozpina mgławe cienie,
A na ziemi ból — tęsknota.

III.

Świszcze, wyje wiatr jesienny
Nocną goniąc zawieruchą,
Skargi, bole niesie z sobą
W noc ponurą, ciemną, głuchą.

Zasłuchany w mym pokoju
Siedzę blizko u ogniska,
Patrząc na żar co z komina
W koło iskry z siebie ciska.

Z mroku mi świtają sennie
Przedawnione chwile złote,
Dziwne we mnie budząc myśli,
Dziwne mary i tęsknotę.

I rój wspomnień mię obsiada
Tak, że słyszę zamyślony,
W szumie wichru jesiennego
Dawno już przebrzmiałe tony.

Nad kominkiem w mdłych obłokach
Delikatne wiszą cienie,
I zwieszając się nademną
Ciche ślą mi pozdrowienie.

Dziwne mi się śnią obrazy
Wśród tych mgieł rozbłękitnionych,
W długich, białych swoich szatach
Blaskiem ognia oświeconych.

A myśl moja, niby ptaki
Po niezmiernej hen przestrzeni,
Ulatuje w dal bezkresną
W głuchą, ciemną noc jesieni...

Rzeszów w Galicyi w listopadzie 1901.

A. Natalin.

Z CHWILI.



Jenerał burski Delaray.

Dzielny dowódzca Burów, generał Delaray, wykonał między innemi w ostatnim czasie pod Moedvillem nocny napad na obóz angielskiego pułkownika Kekevicha. Po kilkogodzinnej walce Burów odparto



Pułkownik angielski Kekevich.

wprawdzie, lecz Anglicy ponieśli ciężkie straty, mając 45 zabitych i 114 ranionych.

Swoją drogą — wojna Burów z Anglikami stanie się zapewne jeszcze krwawszą i okrutniejszą. Wiadomo, że Anglicy rozstrzelali już kilku dowódzców burskich, schwytanych z bronią w ręku, jako buntowników. Na barbarzyńskie to okrucieństwo wodzowie Burów już dali stosowną odpowiedź: rozstrzelali oto oficera angielskiego, pojmanego w jednej z ostatnich potyczek i zapowiedzieli, że każdego oficera angielskiego ten sam los spotka — jeżeli jenerał



Jenerał angielski Buller.

Kitchener nie cofnie swego rozporządzenia co do karania śmiercią pojmanych dowódzców burskich. „Oko za oko — ząb za ząb“ — niechrześciańska to co prawda zasada, w tym wypadku nie można brać Burom za złe, że takiego chwytają się odwetu. Tylko w ten sposób bowiem zdołają poskromić krwiożercze zapędy wodza angielskiego.

Zapędy krwiożercze innego wodza angielskiego, generała Bullera, zmusiły go do podania się do dymisyi, gdyż Burowie zadali mu sromotną klęskę, skutkiem czego popadł u rządu swego w niełaskę.

- ski.

„Ciernie.“

Była wiosna. Kwietniowe ciepło objęło już ziemię, słońce rzucało jaśniejące promienie, natura cała zbudziła się do życia strojąc w godowe szaty, rada zakwitnąć, aby świat cały zadziwić swą pięknością zawsze tą samą, a tak nową, gdy się ją wita po długim śnie zimowym.

Rozkwitły już pączki drzew w cieple słońca, trawa zieloność miała szmaragdów, rosa poranna miliony rozsypała brylantów.

Wiosna ustroiła się we wszystkie swoje kosztowności, jak na wesele, rada przyjąć w ramiona „Lato“, swego oblubieńca. Nie było jeszcze kwiatów w zielonych łąk kobiercach, kwitły tylko na ciemnych gałązkach krzewów białe jak puch „Ciernie“.

Kwitły i wabiły oko... — lecz bądź ostrożną, dziewczyno, nie wyciągaj do nich rączki, bo pod delikatnemi kwiatkami są kolce... mogą cię zranić boleśnie!

Wiosna była... szło ich dwoje brzegiem urwistego wału, co miasto otaczał dokoła. Wiosna wabiła ich ku sobie, mieli ją w sercach, a u stóp ich kwitły „Ciernie“.

Szli zapatrzeni w siebie tacy szczęśliwi i tacy dumni, jakby świat cały należał do nich, jakby tylko dla nich słońce świeciło, dla nich była ta wiosna i dla nich zakwitły „Ciernie“.

Dziewczę wyciąga rączkę do kwiatów, śmieje się radośnie, ale zaledwie dotknęła gałązki śmiech zamienił się w okrzyk bólu, na białe kwiaty spadły czerwone, jak korale.

Wtedy on tę rączkę zranioną pochwycił podniósł do ust i pił z niej nowe życie, duszą dziewczyny się poił, a oczyma poszukał jej wzroku. Potem biedną rączkę tysiące razy całował gorąco, choć rany nie było już znaku i mówił długo serdecznie, że mu jest teraz droższą niż była, że nic ich już nie rozdzieli na wieki. Przysięgał ją bronić, przez życie prowadzić, aby ból jej żaden nie dotknął, by cierń nie zranił boleśnie.

Na wieczną pamiątkę, na zakład miłości zerwał gałązkę cierni dla ulubionej, a choć tam były kolce, już nie raniły, bo ją podała ręka ukochanego, bo ją pokrywały kwiaty czyste jak ich miłość, jak ona świeża i piękna... Poszli dalej ...była wiosna i kwitły „Ciernie“.

Lat trzy przeszło — znów była wiosna; tak niedawno zda się, a to już jakby wieki minęły!

W ubogim pokoiku na poddaszu siedzi dziewczę smutne, po wybladłej twarzyczce płyną łzy tęsknoty i żalu. Szczęście trwało tak krótko, że chyba snem tylko było, przeszły marzenia o białej sukience, o mirtowym wianku, minął szał upojeń, została pustka i długie dni płyną a płyną! Gdzież on, ten ukochany?

Wiosna wróciła już trzy razy, a on nie wraca! Co się z nim stało, gdzie los go zagnał.... czyliż można tak prędko przysięg zapomnieć?

Wiosna wróciła, zakwitły „Ciernie“, ale przy niej nie ma tego, coby wyleczył ranę jej serca, spłakane oczęta nie napotkają już namiętnych spojrzeń lubego, rozpacz toczy jak robak młode życie. Zostało tylko wspomnienie i zeschła gałązka „Cierni“.

S. Zejdowska.



Japońska rodzina przy obiedzie.

Japończycy, jak wiadomo, jedzą, siedząc na podłodze. Unaocznia nam to powyższa rycina. Do niezbędnych potraw każdego przeciętnego Japończyka należy ryż, przyrządzany na rozmaity sposób; podczas jedzenia popijają herbatę. Życie ich rodzinne zalicza się do największych cnót narodowych; pędzą życie spokojne i harmonijne, a dzieci kochają, szanują i czczą swych rodziców.



W przytulisku.

Rycina przedstawia wnętrze krużganka w byłym starożytnym klasztorze, zamienionym na przytulisko. Na około ścian znajdują się grobowce już dawno zmarłych opatów i rycerzy, którzy w ciszy klasztornej zakończyli życie. Jak dawniej mury te poświęcone były pobożności zakonników, tak dzisiaj są one poświęcone dziełu miłosierdzia i miłości bliźniego-nędzarza.

Tajemnicza zbrodnia

Oryginalnie przetłomaczył z francuskiego dla „Pracy"

Empa.

(Ciąg dalszy.)

— O. znam ja waszą litość, — zawołała chora, — rzucacie nam kilka groszy, ale co dalej?... Mój mąż nie mógł nigdzie znaleść roboty, zaczął więc przemycać towary, aby zarobić dla nas na kawałek chleba. Jakgdyby to zbrodnią było! Ale łotry, wyśledzili go i wzięli do więzienia! Sześć miesięcy siedzi tam — i dostanie codziennie jedzenie, a my? Jeżeli moje dziecko umrze, to zabiję tych, co mi męża zabrali!

— Matka nie jadła nic od dwóch dni, nie może je karmić, więc biedactwo umiera z wycieńczenia sił, — odrzekła zakonnica ze łzami w oczach.

— Ach, to okropne!

Gina wyjęła jeden z banknotów, otrzymanych od dziadka, i podała go kobiecie.

— Weźcie to, — rzekła łagodnie, — i przynieście najpierw mleka dla dzieci i mięsa dla siebie. Przestańcie płakać, skoro mąż wasz wyjdzie z więzienia, da mu ojciec mój zajęcie. Aż do tego czasu będę was wspierać!

Zakonnica uśmiechnęła się życzliwie, co Ginę niezmiernie uszczęśliwiło.

Kobieta, która nigdy jeszcze takiej sumy pieniędzy nie miała, patrzała osłupiała już to na banknot, już to na Ginę.

— Więc pani jesteś bogatą i masz serce dla biednych? rzekła z niedowierzaniem.

— Wybacz jej pani, — odezwała się teraz Siostra, — ona tyle wycierpiała!

Gina pożegnała chorą, przyrzekając odwiedzać ją codziennie, i wyszła razem z zakonnicą, która chciała zebrać trochę suchych gałęzi, dla rozpalenia ognia.

— Pani jesteś zapewne córką markiza du Plessis Saint-Luc? — rzekła zakonnica, pomagając odwiązać kucyka.

— Tak!

— Słyszałam o pani wiele dobrego od mej przyjaciółki, Heleny Mezol. Ja jestem siostra Gabryela!

— Cieszę się bardzo, że panią poznałam. Helena mówiła mi, że jesteś prawdziwym aniołem dobroci! Proszę, chciej rozporządzać mojemi pieniędzmi i moją osobą, każdej chwili będę gotową iść tam, gdzie mnie poślesz!

— Dziękuję ci z całego serca, — zawołała siostra Gabryela, ściskając rękę dziewczęcia. — Będziesz pani miała tn szerokie pole dla dobroczynności, a każda łza, którą otrzesz nieszczęśliwym, przyniesie ci szczęście.....

— Nie, szczęścia nie ma dla mnie na świecie, — przerwała Gina szorstko, — ale pomimo to uczynię wszystko, co mi pani każesz.

Zakonnica spojrzała uważnie na młodą dziewczynę, której tysiące innych pewnie pozazdrościłoby majątku i stanowiska, a która jednak była widocznie nieszczęśliwą. Gina zauważyła współczucie jej i dodała smutnie:

— Tak siosto, możesz się litować nademną, bo życie ciężko mi się dało we znaki. Obyś nigdy nie doświadczyła tego, co mnie spotkało. Nie mogę kochać osoby, którą szanować powinnam!

— Moje biedne dziecię, — rzekła zakonnica, — nie jesteś pierwszą, która znosisz przykrości i troski. Żegnam cię teraz, obowiązki nie pozwalają mi dłużej rozmawiać z tobą. Ale przyjdź do mnie wkrótce!

— O, i jak chętnie! Może jutro? Myślę, że Helena towarzyszyć mi będzie! Do widzenia, siostro Gabryelo!

— Do widzenia, panno Gino!

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

— Siadaj pan, proszę, — mówił Lemarche do Lucyana, wskazując mu krzesło. — Byłem w zamku Tauzia i rozmówiłem się ostatecznie z Horacym.

Lucyan ukłonił się i usiadł z miną człowieka, przygotowanego na usłyszenie przykrych wiadomości.

— Pan wiesz, — zaczął fabrykant, — że do zięcia mego mam nieograniczone zaufanie. Powiedział on mi to, czego oddawna już się domyślałem — to jest o istnieniu tajnego ganku w zamku Saint Luc, i o wejściu do sypialni mojej biednej Laury. Oprócz tego zapewnił mnie, że pan ganku tego nie znasz. Dasz mi słowo honoru, że nie znasz go rzeczywiście?

— Jest to szczera prawda, — odrzekł Lucyan poważnie, — przysięgam panu na duszę mej matki!

Lemarche zadrżał, ale zaraz potem dodał spokojnie:

— Uważam sobie za obowiązek przeproszenia pana za podejrzenie, jakie — przyznaję otwarcie — miałem.....

Twarz hrabiego miała wyraz głębokiego smutku i żalu.

— Żałuję niezmiernie, — odpowiedział z godnością, — że pan mogłeś mnie w ogóle podejrzywać o coś podobnego. Przypuszczałeś, że zamordowałem lub że kazałem zamordować moją bratową! Czem właściwie zasłużyłem na takie okropne podejrzenie? Ale pojmuję rozpacz pana! Tragiczna śmierć jedynego twego dziecka pozbawiła cię możności bezstronnego osądzenia tej sprewy. Pojmuję to i wybaczam panu!

— I ja cierpiałem niezmiernie z powodu mego podejrzenia. Wiem teraz, żə wyrządziłem ci krzywdę i będę się starał wynagrodzić wszystko.

— Więc dotrzymasz pan przyrzeczenia, jakie mi Laura dała i zamianujesz mnie swoim pełnomocnikiem? — zawołał Lucyan uradowany.

Myśl o otrzymaniu tej posady zajmowała go tak wyłącznie, że zapomniał całkiem o swej zwykłej ostrożności. I poznał teraz, że zaprędko się z tem odezwał, Lemarche bowiem stał się natychmiast wyniosły i nieprzystępny i rzekł z właściwą sobie obojętnością:

— Pytanie to porusza kwestyą, która nie zupełnie jeszcze jest rozstrzygniętą. Zamierzam zaprowadzić rozmaite zmiany w fabryce, zreorganizować administracyę i skasować posadę pełnomocnika.

— Jakto?

— Nie wiem jeszcze nic pewnego, może być, że wszystko zostanie tak jak jest, a w takim razie byłbyś pan jedynym, któremu bym miejsce to oddał!

Na tem skończyła się rozmowa i Lucyan wyszedł, nieposiadając się z gniewu. Ostatnie słowa fabrykanta pocieszały go wprawdzie trochę, bo uprzejmość i serdeczność, jaką Lemarche okazywał Gastonowi, zaczęła go już na dobre niepokoić, ale wahania się i namysły fabrykanta doprowadzały go formalnie do rozpaczy.

Po opuszczeniu fabryki udał się natychmiast do Paryża i pojechał wprost z dworca na ulicę Ampere.

— Pani w domu? zapytał służącego.

— Tak panie hrabio. Właśnie obiad podają!

— Więc powiedz w kuchni, że i ja zostanę tu na obiedzie, — rzekł, idąc na górę.

Pani Satores, w różowej jedwabnej sukni, wyglądała dziś prawdziwie zachwycająco. Ślady ciężkiej influenzy znikły zupełnie, a lekkie rumieńce i błyszczące oczy świadczyły wymownie o odzyskanem zupełnie zdrowiu.

— Jakże się cieszę, kochany hrabio, że cię już znowu widzę, — zawołała wesoło. — Zjesz ze mną obiad?

— Tak moja droga, a ponieważ byłem pewny, że mnie zaprosisz, przeto kazałem już w kuchni powiedzieć, że zostaję.

Ciemne brwi pięknej kobiety zmarszczyły się gniewnie. Nie lubiła ona ani poufałości, ani cudzego gospodarowania w swym domu, ale powstrzymywała szorstką odpowiedź i rzekła spokojnie:

— Więc cóż się stało?

— Horacy usunął wszelkie podejrzenia Lemarcha. Stary prosił mnie o przebaczenie!

— Ah, i będziesz jego pełnomocnikiem? — zawołała Ella z radością. — Staniesz się bogatym i niezależnym?

— Chwilowo jeszcze nie, i to mnie właśnie do wściekłości doprowadza! Wiecznie jakieś wykręty!

— Ale raz przecież otrzymasz tę posadę?

— Tak, tylko, że ja staremu obłudnikowi nie dowierzam. Poradź mi, co robić!

— Dlaczego sądzisz, że on nie jest szczerym względem ciebie?

— Nie wiem, jest to tylko moje przypuszczenie. Ciągle mi niby to przyrzeka, a jednak zawsze czekać każe, czasem jestem tak zły, że chciałbym mu wszystkie książki w twarz rzucić. Ale potem mówię sobie, że on przecież wiecznie żyć nie może. Śmierć córki niezmiernie go dotknęła, takiego napadu influenzy, jakiś ty miała, on by z pewnością nie przeżył. Silne zaziębienie już by go zabić mogło. W razie jego śmierci stałby się mój brat właścicielem wszystkich milionów i całej fabryki, a wtedy byłbym ja panem w fabryce! Bo z Horacym dałbym sobie łatwo radę!

Ella siedziała zamyślona. Lucyan powtórzył całą swoją ostatnią rozmowę z Lemarchem i czekał teraz niecierpliwie na jej odpowiedź.

— Myślę, — rzekła nareszcie piękna kobieta z lekkim uśmiechem, — że niepotrzebnie unosisz się gniewem. Cóżby to szkodziło, gdybyśmy rok lub dwa jeszcze poczekali? Wszakże oboje jesteśmy młodzi, musiałabym tylko być pewną, że pozostaniesz mi wiernym.

— Jak możesz wątpić o tem?

— Mam już takie nieszczęśliwe usposobienie, że niedowierzam nikomu. Powiadam ci więc teraz stanowczo, że gdybyś mnie zawiódł, gdybyś nie dotrzymał przyrzeczenia ożenienia się ze mną, to pożałowałbyś gorzko twej zdrady!

— Oho, grozisz mi?

— Bynajmniej, mówię tylko to, co myślę i przestrzegam cię! Ale idźmy na obiad, umieram z głodu!

Obiad składał się z wyszukanych przysmaków, Ella była uprzedzająco grzeczną, Lucyan jednak siedział milczący i przygnębiony i nie zwracał wcale uwagi na wyborowe potrawy i wina. Przez wzgląd na służbę nie pytała go Ella o powód jego troski, ale gdy podano czarną kawę, rzekła do służącego:

— Przygotuj nam stolik na tarasie!

Tam nikt rozmowy ich podsłyszeć nie mógł. I gdy zostali sami, zapytała bez długich wstępów.

— Powiedz mi, co cię znowu dręczy, albo wolisz może, abym się domyśliła o co ci chodzi?

— Ah, fatalna historya, — szepnął Lucyan niechętnie.

— A zatem grałeś i przegrałeś, — zawołała Ella rozgniewana.

Lucyan nie grał często w karty, ale raz poraz nie mógł oprzeć się pokusie. Pewność nawet, że Lemarche wypędziłby go natychmiast z fabryki, gdyby o tem wiedział, nie zdołała go powstrzymać od tej namiętności. Im więcej przegrywał tem wyższe stawiał sumy i każda taka walka z szczęściem kończyła się dla niego wielką klęską.

Pani Satore dawała mu wtedy zawsze pieniądze na spłacenie długów honorowych, bo pomimo wysokich dochodów nie ułożył Lucyan dotąd ani grosza jeszcze. Ella sama bardzo była skąpą i obchodziła się bardzo ostrożnie z swoim ogromnym majątkiem, to też Lucyan długo ją musiał za każdym razem prosić i błagać, zanim otrzymał potrzebne pieniądze. Dziś jednak zdawało się, że wszelkie jego prośby i przyrzeczenia poprawy nie odniosą pożądanego skutku.

— No, jak chcesz, rzekł w końcu hrabia. Jeżeli mi nie dasz pięćdziesięciu tysięcy franków, to nie mogę długu zapłacić, Lemarche dowie się o tem, i wszystkie nasze plany przyszłości skończą się na niczem.

— Jak można być tak lekkomyślnym, — wołała w najwyższem uniesieniu. Sam nie masz nic, a i ja nie posiadam skarbów Golkondy! Największy majątek zmarnuje się w ten sposób.

— Nie udawaj, moja droga! Każdy wie, że masz sto tysięcy rocznego dochodu, więc kilkanaście tysięcy franków jest dla ciebie drobnostką. Zresztą oddam ci wszystko co do grosza.

— Nic mi nie oddasz! Znam cię dosyć dobrze pod tym względem!

— Jako przyszła hrabina nie powinnaś się targować o pieniądze!

— Bardzo mi to obojętne — a zresztą dam ci żądaną sumę, ale musisz mi wystawić weksel.

— Mniejsza o to, byleby mi jak najprędzej pieniądze przyniosła.

Pani Satore, mocno zagniewana, poszła do swego pokoju po formularz bankowy, wypisała na nim sumę 50 tysięcy franków i podała go Lucyanowi.

Podpisz mi twoje nazwisko i oprócz tego wystaw mi pokwitowanie, że pieniądze te otrzymałeś na zapłacenie długu karcianego. Tylko pod tym warunkiem dostaniesz je!

Po raz pierwszy miał Lucyan coś podobnego napisać, dotąd bowiem nie żądała Ella nigdy weksli, to też wzbraniał się początkowo i szydził z ostrożności i niedowiarstwa narzeczonej. Ale gdy widział, że Ella nie myśli ustąpić, zgodził się na wszystko, podpisał weksel i kwit, i dziwnie przygnębiony wrócił do domu.

Kilka dni później zaniepokoił się znowu niezmiernie, gdy wchodząc do biura pana Lemarche, ujrzał Gastona, siedzącego na miejscn zajmowanem dotąd zawsze tylko przez pełnomocnika.

— Cóż to, Gaston tutaj? zawołał, patrząc z nienawiścią na swego kuzyna.

— Tak, odrzekł Lemarche spokojnie, potrzeba mi młodych sił do rozmaitych poleceń, których panu, jako starszemu urzędnikowi, dać bym nie mógł. To, co panu przyrzekłem, nie ma z posadą Gastona żadnej styczności.

Po wyjściu Lucyana zwrócił się fabrykant do młodego księcia.

— Strzeż się hrabiego, Gastonie, rzekł serdecznie. On nie jest ci życzliwym, jak wogóle nikomu! Jeżeli będzie się wypytywał, to daj mu wymijające odpowiedzi, bo względem ludzi nieszczerych nie potrzeba być szczerym. Zanim zgodzisz się na jaką propozycyą z jego strony, udaj się najpierw do mnie. Przyrzekasz mi to słowem honoru?

Gastona zdziwiły niezmiernie słowa fabrykanta, znając jednak jego szlachetne serce i wielką dla siebie życzliwość, podał mu rękę i rzekł nie namyślając się długo:

— Daję panu słowo, że będę ci pod każdym względem posłusznym.

— Dziękuję ci! Na dziś skończyliśmy tu pracę, jestem z ciebie bardzo zadowolony, Jakże ci się wiedzie w laboratoryum?

— Pracuję teraz nad tem, aby wytwarzać większe ilości fosforu w elektrycznych piecach i zdaje mi się, że próby powiodły się. Pan Dubois jest także bardzo zadowolony.

— Doskonale! Widzę, że nie zawiedziesz moich oczekiwań, i że staniesz się księciem na polu chemii, zawołał pan Lemarche, uśmiechając się i ściskając gorąco rękę młodzieńca.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Markiz bardzo dobrze teraz wygląda, mówił ksiądz Perin do Violi, przechadzając się z nią po ogrodzie, a wszystko to twoją zasługą, kochane dziecię. Ale Gina chora widocznie. Cóż jej właściwie dolega?

Proboszcz przybył do zamku poprzedniego dnia, pomimo że oficyalnie nie był jeszcze proboszczem w Carere. Tymczasowo więc mieszkał w małym zameczku parkowym, należącym również do markiza, a stara jego gospodyni miała później dopiero przybyć z meblami i całem urządzeniem domowem.

— Nie mogę wcale wypowiedzieć, odrzekła Viola, jaki kłopot sprawia mi Gina. Obecnie jest zupełnie nieprzyjaźnie względem mnie usposobioną, tak, że namyślałam się już, czy nie lepiej by było, abym opuściła dom Horacego. Nie mogę prawie znieść dłużej takiego stosunku.

— Opuszczać jej nie powinnaś! Pomyśl tylko, jakby się tem markiz zmartwił! Bądź cierpliwą i wyrozumiałą, bo to zawsze jeszcze śmierć gwałtowna matki wywiera takie wrażenie na biedne dziecko! Wiemy wszyscy, że markiza nie była wcale uczuciową i kochającą matką, ale czas dziwnie wszystko łagodzi. Gina nie przypomina sobie teraz wcale szorstkości jej, pamiętając tylko o tem, że nieszczęśliwa kobieta umarła w kwiecie wieku i szczęścia, i to właśnie doprowadza ją do rozpaczy.

— Nie o to chodzi Ginie! Siostra Gabryela zauważyła także szczególniejsze jej postępowanie. Jesteśmy przekonane, że Gina ma jakąś tajemnicę, której nikt nie zna.

— Sędziwy proboszcz potrząsnął niedowierzająco głową.

— Ona zawsze tyle zaufania miała do mnie, rzekł poważnie. Gdybym mógł ją nakłonić do powierzenia mi swego zmartwienia, wtedy możnaby prędzej zaradzić złemu i naprowadzić ją na inne myśli. Nie wiesz, gdzie jej szukać?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TEATR.

W sobotę święcił teatr nasz dwojaką uroczystość: dawano jedno z arcydzieł nowoczesnej literatury dramatycznej, Ibsena „Heddę Gabler“; — po drugie był to dzień imienin p. Rygera. — Nie wiem, czy z pierwszej lub drugiej przyczyny zapełniła publiczność szczelnie widownią. W każdym razie miał teatr wygląd uroczysty. — Zapewne radowało się serce pana dyrektora. — Życzymy Ci więc, Panie Dyrektorze, z przyczyny imienin Twych, aby publiczność przez rok cały darzyła pracę Twą niestrudzoną równem uznaniem jak w sobotę, — aby na przedstawienie każde bilety rozchwytano na trzy dni przedtem. A że życzenia składamy Ci jeszcze w oktawie, przeto mają one zapewne tę czarowną moc wszelkich imieninowych życzeń.

— Hedda Gabler ukazuje się nader rzadko na scenach wskutek ogromnych trudności, jakie zgłębienie charakteru bohaterki sprawia. Postaramy się w krótkie opowiadanie treści wpleść historyą duchowego procesu Heddy, który naznaczony tylko w sztuce zrazu niepochwytnym jest dla niewtajemniczonego widza — i dla aktora.

Hedda, jako córka jenerała, człowieka należącego do najwyższych sfer towarzyskich, — w domu ojca pędziła życie na rozrywkach; miała przytem upodobanie do niezwykłości, — lubiła sport, jeździła konno, strzelała. Z balu udawała się na bal. Jako panienka wchodząca w świat była powiernicą młodego, genialnego, zepsutego do ekscesu, pełnego namiętności, temperamentu, zapału Eilerta. Eilert wtajemniczał ją we wszystkie burze życia swego, — jak sam powiada — nie było rzeczy, której nie byłby jej wyznał. Kochał ją na swój sposób do szaleństwa. W końcu rozłączyło ich życie; Eilert został nauczycielem domowym u sędziego ziemskiego, męża młodziutkiej drugiej żony i ojca sześciorga dzieci z pierwszego małżeństwa.

Pani Tea ze swoją naturą entuzyastki poznała genialne uzdolnienie Eilerta i zdołała wpoić w niego wiarę we własne siły i we własną wartość moralną, o której w burzliwem życiu dawno był zwątpił. Pod jej wpływem tworzy i wydaje Eilert dzieło jedno — tworzy następnie wielkie historyozoficzne drugie dzieło, które dyktuje Tei, odgrywającej w końcu rolę sekretarki.

Tymczasem ojciec Heddy umarł; ujrzała się w położeniu majątkowem nie pocieszającem, a że wśród licznego grona wielbicieli tylko jeden, uczony, młody niedołęga, Jerzy Tesman, prosił o jej rękę, więc wyszła za niego. — Dramat zaczyna się chwilą, kiedy państwo młodzi wrócili z zagranicy z kilkomiesięcznej podróży poślubnej. Tesman, człowiek gołębiej poczciwości, zbierający chętnie po starych archiwalnych szpargałach drobne zapiski i kompilujący z nich tomy całe, pozbawiony przytem sprytności i tego daru umysłowego, który nazywamy męzkim charakterem, zdołał ją już znudzić śmiertelnie.

Wraca obojętna na wszystko, znudzona, senna. — Przytem Tesman jest niskiego pochodzenia; jego ciotka, dzielna, ale prosta kobieta, razi Heddę swoim brakiem wytworności. — Słowem żyje Hedda w tej szarej duchowej atmosferze, kiedy wszystko wydaje się pospolitem, płaskiem, kiedy człowiek pragnie niepospolitych, ogromnych wrażeń. Przyjeżdża Eilert, który nb. jest przyjacielem i kolegą Tesmana. — A za nim przyjeżdża pani Tea, która musi oddychać „tem powietrzem, którem oddycha Eilert,“ — i przybywa do Heddy, jako jej koleżanka ze szkół. — Hedda dowiaduje się od Tei całego dalszego przebiegu życia Eilerta. Tea rzuca wtedy niebaczną uwagę, mówiąc, że opowiadał jej Eilert, iż miała nad nim dawniej szalony, nieograniczony wpływ dziewczyna, znajoma lat młodocianych. — Nie mówił nazwiska jej? — Nie mówił.

Wtedy budzi się w Hedzie nieprzeparte pragnienie przekonania się, czy doprawdy ma na Eilerta wpływ tak potężny. Czy umarłby dla niej? Kiedy po przehulanej nocy u radcy Braka, u którego i Eilert był i Tesman, — Eilert gubi rękopis arcydzieła swego, który miał przy sobie, — i kiedy Tesman, znalazłszy go, oddaje Hedzie na schowanie, — Heda pali rękopis. Wie, że dzieło to, to najdroższy skarb Eilerta, cząstka jego duszy, — i że drugi raz nie umiałby go już napisać. Eilert przychodzi zrozpaczony do Tesmanów, zastaje tylko Heddę, skarży się jej, że zgubił rękopis, że zburzył tem dzieło życia swego. Przytem stracił już wiarę w siebie, bo w nowem otoczeniu popadł znów w dawne nałogi. Żegna się, wtedy Hedda daje mu pistolet jenerała Gablera, mówiąc: to co się stanie, niech będzie pięknem. Eilert odbiera sobie życie — jej pistoletem. Powiada to Heddzie radzca Brak, jej dawny wielbiciel i kandydat na przyjaciela domu. Powiada, że znaleziono u Eilerta pistolet — Heddy, że wskutek tego z przyczyny różnych fatalnych powikłań — będzie skandal i proces, — że skandalu uniknąć można tylko, jeżeli Brak milczeć będzie, bo on jeden poznał pistolet. A Braka milczenie okupić trzeba. Wtedy Hedda odbiera sobie życie drugim pistoletem jenerała Gablera, „nie chcąc być w niewoli.“ —

P. Podgórska grała Heddę i budziła w nas podziw, że grając pierwszy raz w życiu rolę tego pokroju, grała ją tak. Oczywiście charakteru Heddy, niezmiernie trudnego, subtelnie nie zdołała odtworzyć. Jest to zadanie, któremu największe tragiczki niezawsze dorównają. Przedewszystkiem nie zaznaczyła tego wyżej wspomnianego zwrotu w życiu Heddy, — z ogromnej nudy do pragnienia zguby Eilerta. Pan Czerniak w roli Tesmana grał wogóle poprawnie, odtworzył typ wiernie. — P. Borawski jako Brak był mało elegancki, choć grał z wielkiem zrozumieniem. P. Stogniewska odegrała nader trudną rolę Tei dość dobrze. — Zamało była wystraszoną, niepewną, histeryczną. P. Królikowska miała małą rolę ciotki, odegrała ją z prawdą. — Tylko p. Stradiot nie był ani na chwilę Eilertem. Był deklamatorsko-tragicznym, — zamiast być zblazowanym, cynicznym, a przytem zrozpaczonym do głębi duszy. — Takie odegranie tej roli, jak to p. Stradiot uczynił, — „położyć“ może sztukę.

— Ali. —

Wiadomości.

— **Znowu konfiskata i rewizya.** Dnia 15 go b. m. przed południem przedsięwziął asesor policyjny, pan Augustini w towarzystwie kilku urzędników policyjnych na mocy uchwały sądu poznańskiego ścisłą rewizyą we wszystkich lokalach naszego wydawnictwa. Poszukiwano manuskryptów zamieszczonych w nr. 44-ym artykułów: „Do Braci Górnoślązaków“ i „Do Niemców“, w których prokuratorya dopatrzyła się rzekomego podburzania do gwałtów na mocy owego słynnego paragrafu 130 go kodeksu karnego.

Pomimo iż manuskryptów wzmiankowanych artykułów nie znaleziono, zabrano mnóztwo innych papierów, które nam już wszystkie dnia 18 go b. m. zwrócono. Wszystkie będące jeszcze w zapasie egzemplarze nr. 44-go „Pracy“ skonfiskowano.

Natychmiast po odbytej rewizyi i konfiskacie przesłuchiwano na policyi naszych redaktorów pp. Kamieńskiego i Rakowskiego.

Rzekomo karygodne artykuły czytał przed ich ogłoszeniem jeden z prawników poznańskich i nie dopatrzył się w nich nic karygodnego. Spodziewamy się więc, że śledztwo w tej sprawie umorzone będzie.

— **Panu dr. Rakowskiemu** a także p. *Marcinowi Biedermannowi,* wydawcy naszego pisma, doręczono już oskarżenie bardzo obszerne, obejmujące kilkanaście stronnic; termin odbędzie się *dnia 5-go grudnia* przed izbą karną tutejszego sądu ziemiańskiego. Tak ze strony prokuratoryi jak i ze strony obu oskarżonych zawezwano licznych świadków nawet z zagranicy.

— **Z teatru.** W sobotę dnia 23 go bm. daną będzie pyszna nowość; komedya z francuzkiego: „Koralia i Sp.“, którą warszawski teatr rządowy „nowości“ grał dotąd kilkadziesiąt razy z rzędu, zawsze wobec przepełnionego audytorium. Spodziewamy się, że na sobotniej premierze i nasz teatr będzie przepełniony.

W niedzielę dnia 24-go bm. z powodu protestanckiego dnia zadusznego uka-

żą się dwa utwory poważnie dramatyczne; po południu: „Kiejstut“, tragedya w 5 aktach Adama Asnyka po cenach do połowy zniżonych, a wieczorem: „Skazaniec“, dramat w 4 aktach J. Giacomettiego z udziałem dyrektora p. Rygera w roli głównej.

Z radosną dzielimy się z Czytelnikami naszymi wieścią, że mistrz J. Paderewski, wedle otrzymanego przez Dyrekcyę telegramu z Budapesztu, koncertować będzie w teatrze naszym w dniu 13-ym grudnia rb. Zaznaczyć przy tem wypada, że tylko ten jeden, jedyny koncert się odbędzie.

— **Na gwiazdkę.** Piękną, artystycznie wykonaną kolekcyą kart pocztowych, kolorowych, przedstawiających sceny ze stajenki Betlejemskiej z odnośnemi strofami z pieśni kolędowych, oglądaliśmy w składzie materyałów piśmiennych p. Antoniego Rosego w Poznaniu w Bazarze. Wobec nadchodzących świąt Bożego Narodzenia oraz gwiazdki, tej najpiękniejszej uroczystości domowej, zwracamy Czytelnikom naszym baczną uwagę na wzmiankowane karty pocztowe kolędowe. Żądajmy ich wszędzie i zważajmy na firmę, aby nam nie sprzedano nie polskie, tak często niesmaczne karykatury obce.

— **Na odbudowanie wieży** na Jasnej Górze złożył w dalszym ciągu p. A. J. z Mogilna 2 mrk.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 602 mrk, 59 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Pokwitowanie.** Na fundusz dla gimnazyastów oskarżonych w procesie toruńskim złożyli na nasze ręce:

Ks. Gołębiowski z Szywałdu 5 m. F. Buda Nowe-Miasto Prusy Zch. (składka) 26 m. Kutzner, adwokat w Ostrowie, 30 m. Chrzanowski, adwokat 10 m. Dr. Krysiewicz 10 m. Dr. Niegolewski 10 m. Carolus Anastazya, Buk 30 m. I. Mieczyński, Ilmenau 4 80 mrk. Br. Kud. Wrocław 5 m. Dr. Bron. Potocki z Samborza, 4 korony — 3,35 m. S. Skoraczewski ze Śremu, 18 m. F. Szamowska 1 mk. P. K. z Poznania (składka) 50 m. Grono Pań z Poznania 100 m. Młodzież z Poznania 25,20 m. Jadwiga Grabska, Zakopane (składka) 34,20 m. Przez redakcyę „Dziennika Berlińskiego“ 269,50 m. Przez redakcyę „Gońca Wielkopolskiego“ 24,50 m. Razem 629, 55 mrk. Udzielono pomocy za 246,50 m. Pozostaje 383,05 m.

Powyższą sumę 393,05 m. złożyliśmy w Banku Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu, książeczkę odesłaliśmy do głównego komitetu, zawiązanego w tym celu na ręce WPana J. Brejskiego w Toruniu, do którego prosimy odsyłać i dalsze składki.

B. Chrzanowski. Dr. Krysiewicz.
Dr. Niegolewski.

— **Dla wydalonych gimnazyastów** złożyli w dalszym ciągu w naszej redakcyi „X. W. S. A.“ 20 mr. p. Emil Kolaczek z Bielska w Galicyi 19 mrk. 46 fen. pp. Julia Simon 3 mrk. i Julia Mensch z Poznania 1 mrk.

Dotąd złożono na ten cel 82 marek 96 fen. Dalsze datki na ten cel przyjmujemy jak najchętniej.

— **Fotografie najnowsze** akademików, skazanych w procesie poznańskim na więzienie, poleca pierwszorzędny renomowany zakład fotograficzny p. Turskiego (firma Rivoli przy ulicy Berlińskiej nr. 4.) W zakładzie p. Turskiego wykonują się wszelkie zamówienia podług najnowszych ulepszeń. Illustracya nasza akademików, zamieszczona w zeszłym numerze na stronie 1261-ej, wykonaną została według znakomitego zdjęcia fotograficznego, dokonanego w wzmiankowanym zakładzie.

— **Chełmża**, dnia 16. 11. 1901. We wtorek, 12-go bm., pobłogosławiony został w tutejszym kościele parafialnym związek małżeński pomiędzy panną Konstancyą Wykrzykowską a panem Władysławem Chrzanowskim kupcem tu ztąd. Aktu ślubnego dokonał kuzyn panny młodej, ksiądz Antoni Siudziński z Poznania w asystencyi miejscowego proboszcza, księdza dziekana Fryntkowskiego i O. gwardyana Stefana Podworskiego z Krakowa, przyjaciela pana młodego. Od ołtarza przemówił do nowożeńców w nader serdecznych słowach O. gwardyan. Szczęść Boże młodej parze!

— **Lipinki, Prusy Zachodnie.** W tych dniach został odnowionym nasz kościół parafialny, który z biegiem lat był dość zniszczony, i to dzięki staraniom naszego czcigodnego księdza administratora Ziemkowskiego, który nie szczędził starań i zabiegów, aby nasz kościół pięknie przyozdobić. To też każdy parafianin powinien czuć szczerą wdzięczność dla naszego czcigodnego księdza dobrodzieja, i prosić Boga o zdrowie, i jak najdłuższy pobyt pomiędzy nami. Także wszystkim parafianom, którzy przyczynili się choć najmniejszym datkiem do ozdoby naszej świątyni, niech Bóg stokrotnie nagrodzi! Pominąć nie mogę, iż prace malarskie i pozłotnicze, które wykonane zostały z wielkim gustem i starannością, powierzył nasz czcigodny ksiądz dobrodziej p. W. Duszyńskiemu, dekoratorowi kościołów z Poznania. Z całą więc sumiennością polecić możemy p. Duszyńskiego, który w naszej okolicy już więcej kościołów odnowił, przez co wyrobił sobie wszelkie uznanie.

Jeden z parafian.

— **Z Kórnika**, 12. 11. 1091. W ubiegłą niedzielę, dnia 10-go bm., odbyło się w Kostrzynie przedstawienie amatorskie, z którego czysty dochód przeznaczono na zakupienie harmonium dla Towarzystwa chóru kościelnego w Kostrzynie. Na wstępie nadmieniam, że Towarzystwo to od niedawna istnieje, a już okazało wielką żywotność; dlatego też publiczność tamtejsza ze względu na cel przedstawienia bardzo licznie się zebrała, aby tem okazać swoją życzliwość dla Towarzystwa „chóru.“

W przedstawieniu, które osobny urządził komitet, brali udział wyłącznie członkowie „chóru.“

Afisz ogłosił dwie sztuki, a mianowicie: „Onufry“, komedya w 1 akcie przez St. Dobrzańskiego i „Wesele na Prądniku“, obrazek wiejski ze śpiewami i tańcami przez Anczyca.

Tak amatorki jak amatorzy wywiązali się z ról swych jednem słowem doskonale; to też publiczność nie szczędziła im wcale zasłużonych oklasków. Widziałem na sali gości z dalszej okolicy, a nawet aż z Berlina, którzy nie mieli dosyć słów uznania dla gry znakomitej.

Dziękuję szan amatorkom i amatorom wogóle Kostrzyniakom za miłe przyjęcie i za miłe wśród nich spędzone chwile. Towarzystwu zaś „chóru“ życzę w końcu publicznie, aby jak najlepiej się rozwijało! St. M.

Zmarli.

S. p. Emil Karliński, żołnierz z roku 1863-go, dawniejszy dzierżawca Żabikowa, znany obywatel z wielkiej gorliwości w pracach narodowych, stryj pani Janiny Omańkowskiej, umarł w Poznaniu, dnia 14-go b. m. R. i. p.

* * *

S. p. Teodozya z Gendziorowskich Marcinkowska. Dnia 15 b. m. odprowadziliśmy na wieczny spoczynek zwłoki ś. p. Teodozyi z Gendziorowskich Marcinkowskiej, małżonki p. Bolesława Marcinkowskiego, naszego muzyka artysty. Przestało bić gorące, zacne serce ś. p. Teodozyi, która pozostawiła ciężko strapionego męża i ośmiorgo po części drobnych dziatek, potrzebujących matczynej opieki. Znikła na wieki po 21 latach zamęźcia swego, niewiasta zaledwie 37 lat licząca, ukochana i wielbiona od męża i dzieci, która z prawdziwie bohaterską siłą ducha walczyła z chorobą do ostatniego tchu życia swego w tej błogiej nadziei, że Najwyższy pozwoli jej przyjść do zdrowia, aby módz wychować swe dziatki na chwałę Bożą i pożytek społeczeństwa. Pomimo odebranego wykształcenia, pięknych, ujmujących rysów twarzy, powabnej powierzchowności, ś. p. Teodozya nie należała do szeregu tych niewiast, które się oddawają próżności światowej, lecz w zaciszu domowem pracowała skrzętnie i zajmowała się wychowaniem swych dziatek. Nawskroś religijna, wpajała w serca swych dziatek zasady wiary naszej świętej, miłość ojczyzny i bliźniego, to też owoce tej pracy już dziś tryumfują na obczyźnie, gdyż córeczka „Bolesia“, owa utalentowana pianistka, która odbywa dalsze studya muzyczne w Paryżu, znana jest tamtejszej „Misyi Polskiej“ z swej pobożności. Widząc nad grobem swej ukochanej żony, matki, stojącego małżonka, przygnębionego ciężkim smutkiem, nieopisanym żalem, osierocone dziatki, nieobecność córeczki „Bolesi“, płacz i rozpacz, ten — choćby serca kamiennego, łzy ronić i w sercu rzewne wspomnienia odnieść musiał.

Pomimo ulewnego deszczu nader liczny zastęp przyjaciół i szczerze życzliwych pospieszył oddać ostatnią przysługę ś. p. Teodozyi Marcinkowskiej, której zwłoki eksportował jej kuzyn, ks. Nawrocki, wikaryusz tumski i kanclerz Arcybiskupi, w asystencyi 15 księży.

Tak więc nad świeżą mogiłą śp. Teodozyi Marcinkowskiej płacze nietylko mąż z dziećmi, ale płaczą i wszyscy ci, którzy znali jej zalety i cnoty.

Niechaj spoczywa w spokoju, a duch śp. Zmarłej, niech czuwa i przelewa się na serca pozostałych w grubej żałobie, aby temi samemi cnotami i miłością się kierowali!

Ziemia ojczysta — niech Jej lekką będzie! R. i. p.

— **Wysoka.** Tutejsze Towarzystwo śpiewu i muzyki urządza z powodu uroczystości poświęcenia nowego sztandaru w poniedziałek, dnia 25 bm. w nowozbudowanej sali p. Schindlera teatr amatorski. Odegrane będą „Podstęp“, komedya w 1 akcie przez P. Własta, i „Takich więcej“, komedya w dwóch aktach, napisał Wincenty Juliusz Wdowiszewski. Początek przedstawienia punktualnie o godz. 7-mej wieczorem. Kasa otwarta od godziny 6-tej. Po przedstawieniu zabawa z tańcami.

Zarząd.

— **Załęże.** Towarzystwo katolickich robotników dla Załęża i okolicy, odbędzie w niedzielę, dnia 24 b. m. punktualnie o godzinie 4-ej nadzwyczajne posiedzenie, poświęcone ku czci Adama Mickiewicza. Program urozmaicony śpiewami, deklamacyami i przemówieniami. Zapraszamy na to posiedzenie naszych wiarusów z Załęża, Katowic i Król. Huty, aby jak najliczniejszy udział wzięli. Posiedzenie odbędzie się na sali p. Goldmanna.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

Dyalog.

W wagonie klasy 2 ej jeden z pasażerów powiada do drugiego, palącego papierosa.
— Panie?
— Hm?
— Pan pali papierosa?
— Jak pan widzi?
— A przecież tam zewnątrz wagonu wisi tabliczka: „dla niepalących.“
— Ja też palę — wewnątrz.

Hypoteki.

Z ukończonych parcelacyi mamy **za przeszło pół miliona marek**

hypotek 5-cio procentowych pierwszomiejscowych

które polecamy jako **najpewniejszą lokacyę kapitałów!** Hypoteki cedujemy w każdej wysokości, począwszy od mk. 500 **z gwarancyą za kapitał i procenta.** Dla wygody nabywców hipotek płacimy procenta **wprost** i to w półrocznych ratach z góry.

Adresować prosimy: **Spółka Rolników parcelacyjna, Posen.**

Spółka Rolników parcelacyjna

809 **Poznań, ul. Podgórna 10, part.**

Ad. Woliński. *Wł. Kaczmarek:* *J. Kużaj.*

Kalendarze Karola Miarki

na rok 1902

200 000 egzpl.

Kalendarz Maryański

Najpiękniejszy kalendarz polski, zawiera śliczne powieści, wesołe opowiadania, piękne obrazki i 6 nadzwyczajnych dodatków:

1. Elementarz polski, 64 str. 2. Obraz kolor.: Królowa Wsz. Święt. 3. 2 obrazy ciemne. 4. Obraz cieniowy z 4 portretami. 5. Dwukol. kalend. ścienny. 6. Kalendarzyk kieszonk.

Cena z wszystkimi dodatkami 60 fenygów.

Święta Rodzina

po kalend. Maryańskim najwięcej polecenia godny, zawiera również piękne powieści, opowiadania, obrazki i nadzwycz. dodatki:

1. Obraz kolor.: W domku św. Rodziny.
2. Obraz jednokolorowy.
3. Kalendarz ścienny.
4. Wzory, jak przykrawać suknie.

Cena 50 fenygów.

Przyjaciel Rodziny

Najtańszy ze wszystkich kalendarzy polskich,

niemniej odznaczający się doborową treścią, pięknemi illustracyami itd.

Dodaje się do niego:

1. Obraz kolorowy. 2. Kalendarz ścienny.

Cena tylko 30 fen.

Do nabycia

we wszystkich księgarniach i wprost u Karola Miarki

w Mikołowie (Nicolai O.-S.)

O pani! Jeżeli serdeczna przyjaciółka pochwali bez zastrzeżeń twoją tualetę, siadaj coprędzej w najszybszą monokonkę i jedź do szwaczki, aby ci szatę poprawiła, albowiem najwidoczniej suknia zrobiona jest skandalicznie.

Hurtownie! Detalicznie!

Na adwent

polecam następujące towary:

śledzie opiekane, zwijane (Rollmopsy) delikatesowe, minogi, węgorz w galarecie, sardynki ruskie i w oliwie, kawior, łosoś i t. d.

Dzienna przesyłka wędlin, jako to:

bydlinki (specyalność) flundry, sprotawki, węgorz wędzony i rozmaite sery.

Prosząc o łaskawe poparcie, pozostaję

uniżony

Aleksander Pytliński,

819 handel kilońskich wędlin,

Wrocławska ul. nr. 1.

Pianina

i

harmonia

kupuje się dobrze i tanio u

L. Zipperta,

Gniezno, Rynek nr. 6.

Wpłaty częściowe uwzględnia się. Cennik franko. 751

Napisane przez

Annę Hein,

dawn. wyższą akuszerkę przy położniczej klinice w król. Charité w Berlinie

„Frauenschatz“

(Skarb dla kobiet)

wys. za 50 f. w. mark. poczt. dom wys. art. hyg. pani **Anny Hein,** Berlin S. 151, Oranienstr. Nr. 65

Biuro

techniczne i architektoniczne.

Wszelkie projekta i kosztorysy

padające w zakres **budownictwa i architektury**, podług najpraktyczniejszych zasad i najlepszej konstrukcyi; projekta i kosztorysy na 821

drenowanie i kolejki wązkotorowe, niwelacye, wymierzanie gruntów i plany sytuacyjne

wykonuje **prędko** i po **bardzo przystępnych cenach**, a przejmuje na żądanie także i wyższy dozór nad budowlami

Wacław Czarliński,

architekt,

Toruń, ul. św. Ducha nr. 1.

(Thorn W./Pr., Heiligegeiststr. Nr. 1.)

Niniejszem pozwalam sobie Łaskawej Publiczności donieść uprzejmie, iż z dotychczasowej firmy **Stefan Koszewski & Marcinkowski** wystąpiłem i 1 października r. b. własny 815

warsztat stolarski

przy ul. Strzeleckiej nr. 31

otworzyłem.

Z wysokim szacunkiem

Stefan Koszewski.

Stary, dobrze zaprowadzony

interes konialny, win i cygar

z destylacyą

od zaraz do odstąpienia. Roczny obrót 100,000 mk. Do przejęcia 10—12,000 mk., resztę podług ugody. Łaskawe zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. **K. nr. 813.**

Prima prósze torfowe, mąka torfowa, torf do palenia — dostarcza z powodu korzystnego położenia jak najtaniej 380

Gosewisch & Rischbieth,

fabryka prósza torfowego,

Neustadt a. Rbge. (Hannover)

Niesłychanie!!!

330 sztuk tylko za 3,50 mk.

Piękny zegarek pozłacany z 3 letnią gwarancyą z piękn. łańcuszkiem, $^{1}/_{4}$ tuzina dobrych chustek, torebka skórzana do pieniędzy, garnitur guzików double do mankiet i koszul, piękna cygarówka, niklowy odkrajacz do cygar, piękny album, pierścionek z imit. kamieniem dla panów, 36 sztuk japońskich kwiatów, śpilka do krawaty z bryl. simil. bardzo układzająca, 5 sztuk kart z widokami wiedeńskich bardzo interesujące, 5 sztuk wyrocznic egipskich wróżbiarzy, (bardzo interesujące) lustro toaletowe kieszonk., 20 sztuk przedmiotów do koresp. i 250 sztuk różnych innych drobiazgów dla gospodyń gratis. Wszystkie te przepyszne 330 sztuk z zegarkiem, który sam już wart jest te pieniądze, kosztuje razem 3,50 mk. przez zaliczkę pocztową, nabyć można tylko w krótkim czasie z domu towarowego 816

P. Lust, Kraków, Krakau nr. L 1/8.

Niepodobające się, pieniądze z powrotem.

Kupiec bławatny, kawaler, 28 lat, dobrego usposobienia, właściciel dobrze prosperującego interesu, szuka dla braku znajomości pań na tej drodze

towarzyszki życia.

Panienki do 25 lat, skromnie wychowane, posiadające wyżej 9 tysięcy marek gotówki, zechcą łaskawe swe oferty z fotografią, które na życzenie z powrotem odesłane będą, z zaufaniem, złożyć w ekspedycyi „Pracy“ pod l. **N. 820.**

Dyskrecya pod słowem honoru.

Na odpłatę.

Aufricht & Mandowsky.

Na odpłatę.

Kabatki — Kapy — Płaszcze dla dam — Suknie dla dam — Halki dla dam — Ubrania — Marynarki — Paletoty męzkie — Płaszcze męzkie — Spodnie — Ubrania dla chłopców — Obuwie

Materye na suknie — Towary płócienne — Towary bawełniane — Serwety na stół — Dywany — Pokrycia na meble — Chodniki — Meble — Meble wyściełane — Łóżka żelazne — Wózki dla dzieci — Zegary.

Czy to prawda?

zapytują Ci, którzy u nas swoich zakupów jeszcze nie robili, a jednak sprzedajemy nasze towary **na odpłatę** tak samo, jak w innych składach za gotówkę. Kto się o tem chce przekonać, ten niech przyjdzie do naszego składu, zapyta o ceny, a każdego się chętnie objaśni, chociażby nie przyszedł w celu kupna!

Korzyści przy zakupach są tak wielkie, iż nie jest możebnem, ażeby je tu pojedyńczo wyszszególniać. Największa korzyść jest ta, że można w łatwy i dogodny sposób bez jednorazowego większego wydatku nabyć wszystkie towary wyżej wymienione! Nadto nie potrzeba w rozmaitych składach kupować, ponieważ u nas można otrzymać wszystko, co do **odzieży i wypraw** potrzebne. Dogodność tę najwięcej odczują urzędnicy, rzemieślnicy, robotnicy i t. d., a najlepszy dowód, iż **już przeszło 4000 odbiorców** swe zakupy u nas uskuteczniają.

☞ **Odtąd sprzedajemy także na prowincyą, jednakże tylko pod warunkiem osobistego przybycia.** ☜

Jako legitymacya wystarcza karta podatkowa lub karta zabezpieczenia inwalidów i starości.

Przy pierwszym kupnie jest czwarta część wpłaty.

☞ **Dawniejsi Odbiorcy otrzymają wszelkie towary bez wpłaty!**

Na odpłatę.

38. Wielkie Garbary nr. 38.
róg ulicy Butelskiej.
797

Na odpłatę.

733

Gabinet dentystyczny
J. Gulińskiej

został otwarty
w Poznaniu, ul. Berlińska 19.

Plomby, zęby sztuczne, wykonywane podług najnowszych metod na kauczuku, złocie oraz bez podniebienia. **Prostowanie krzywych zębów, ekstrakcya bez bólu.**

☞ *Ceny umiarkowane.* ☜

Herbatę

chińską, ruską

poleca *po znanych tanich cenach hurtownie i detalicznie* w wielkim wyborze 447

Centralna Drogerya
J. Czepczyński,
Poznań, Stary Rynek nr. 8.
Telefon nr. 238.



Przy odbiorze detalicznym za 10 mrk. herbat — franco pocztą.

Antoni Rose,

Poznań—Bazar

poleca

Wielki wybór tapet

od 15 fen. za rulon począwszy, wszelkie dekoracye, borty, rezety sztukowe. Znane z trwałości lincrusta — tapety oraz **linoleum** pierwszorzędnych fabryk.

Papier transparentowy „Diafania“ na szkło.
!!! Wszelkie próby na żądanie franko !!!

Skład materyałów piśmiennych.

Zakład litograficzny i drukarnia.

Fabryka wyrobów papierowych, książek kontowych i rejestrów gospodarczych.

Plakaty, etykiety, dyplomy, **karty wizytowe** itd.

wykonuje się spiesznie i akuratnie po najtańszej cenie. 814



Bitwa pod Stoczkiem dnia 14-go Lutego 1831 r.

Malował Jan Rosen.

Drukiem „Pracy.“

Dodatek nadzwyczajny do „Pracy“ Nr. 47-go.



Ojcowie, matki i dzieci, skazani w sprawie wrzesińskiej przez trybunał gnieźnieński dnia 19 listopada 1901 r.

Rodacy!

Z bolesnym jękiem skonał dzień 19-go listopada. A kiedy telegramy po niwach polskich rozniosły wieść straszną, zawtórzyło mu echo żałosne, gdzie tylko serca drgają polskie, echo bólu i współczucia.

Tak, „okropne dzieje przyniósł nam czas“. Trybunał gnieźnieński skazał 20-stu rodaków na niesłychanie srogie kary więzienne za to, że nie chcieli zezwolić, by chłostano ich dzieci pragnących nauki religii *w własnym, ojczystym* języku, za to, że nie chcieli zezwolić, by religii uczono w języku niemieckim.

Sąd pruski orzekł, by poszły matki, żony i siostry, by poszli ojcowie, mężowie i bracia, by poszli za kraty. Zostawiają oni wśród rodzin i bliskich swoich tyle ran, tyle łez i bólu. Zostają dzieci bez ojców i matek, zostają ojcowie i matki zgrzybiałe bez wspierających dłoni swych dzieci, zostają słabi i chorzy bez pomocy i opieki, zostają sieroty niewinne i drobne — zostają *łzy, ból, bieda, może nawet i głód.*

Narodzie Polski — tak do Ciebie się odzywamy — *cały Narodzie Polski,* gdziekolwiek zawiodły Cię losy historyi lub życia, Ty, który cierpisz pod pruską kulturą, Ty, który klęczysz u grobów wawelowej naszej przeszłości, Ty, który pracujesz w Polskiem Królestwie i piękno języka naszego w warszawskiem pielęgnujesz ognisku, Ty, który tęsknisz za krajem z za morza, cały Narodzie Polski, co mieszkasz na obszarach dawnej Polski, co mieszkasz na obczyźnie, słuchaj! Jeżeli łez nie osuszysz, bólu nie ukoisz, biedy nie odeprzesz, głodu nie zaspokoisz, to *łzy te, ból, bieda i głód spadną na Ciebie i zaciężą na sumieniu Twojem.* Wiedz, że ci, co dzisiaj siedzą za kratami, cierpią za Ciebie, cierpią za to, że kochali język swoj ojczysty, za to, że *kochali Ciebie, Narodzie Polski!*

By opuszczonym przyjść z pomocą, zakładamy niniejszem

fundusz wrzesiński.

Niechaj popłyną składki od najzamożniejszych do najbiedniejszych, niechaj każdy, co może, da grosz najdrobniejszy! Zwykle dzieje się u nas, że kto nie może dać wiele, ten nie daje nic.

Zerwijmy z tym zwyczajem. Kto nie może dać wiele, niechaj da mało, jaknajmniej, a z groszy majątek powstanie.

Dla Was, skazańcy, dla Was niczego uczynić nie możemy. Lecz nie rozpaczajcie — dbajcie o siebie. My zaś, naród cały, dbać będziemy o opuszczonych — zachowamy i wychowamy ich wam.

A kiedy znowu wolność wam się uśmiechnie, będziecie mogli uklęknąć z nimi i wspólnie z nimi modlić się w *swoim, ojczystym języku.* Wiemy, że pragniecie tego wszyscy, wierzymy, że czujecie tak jak ona matka-Polka, owa kobieta z ludu, która trybunałowi pruskiemu w oczy rzuciła tak pełne prostoty i poezyi słowa:

„Jak moje dziecko po polsku odmawia pacierz i po polsku czyta katechizm, to cieszę się z tego i raduję. *To jest wtedy radość moja, moje szczęście, moje bogactwo, moje wszystko,* a gdy po niemiecku, to ono nie ma z tego pożytku!“

Więc, skazańcy, nie rozpaczajcie! *Naród Polski cały nie opuści Waszych!*

Redakcya „Pracy.“

Na powyższy cel zebrano już za staraniem Redakcyi „Pracy“

800 marek.

Dalsze składki prosimy nadsyłać pod adresem Redakcyi „Pracy“ w Poznaniu (Posen, Rycerska 38).

Pokwitowanie z odbioru datków, ogłosimy imiennie.

* * *

W następnym numerze podamy obszerne sprawozdanie z procesu wrzesińskiego, ograniczając się dzisiaj na wniosku prokuratora o kary dla oskarżonych oraz na wyroku:

1) *Piasecka* zasądzoną została *na dwa i pół roku więzienia* (tak jak chciał prokurator).

2) *Dzieciuchowicz* na *2 lata więzienia* (prokurator wniósł 1 i pół roku).

3) *Chojnacki* na *2 lata więzienia* (prokurator wniósł 1 rok).

4) *Balcerkiewicz* na *1 rok i trzy miesiące więzienia* (prokurator wniósł 9 miesięcy).

5) *Furmaniak* na *1 rok więzienia* (prok. wniosł 9 miesięcy).

6) Młoda mężatka *Bednarowiczowa* z domu *Jerzykiewiczówna* na *1 rok więzienia* (prok. wniósł pół roku).

7) *Zientek* na *1 rok więzienia* (prok. wniósł 6 miesięcy).

8) *Haehnel* na *1 rok więzienia* (prokurator tak samo).

9) *Fr. Korzeniowski* na *1 rok cuchthauzu,* — (Prokurator wniósł o pół roku).

10) 13-letni syn jego *Antoni Korzeniowski na 4 miesiące więzienia i 2 tygodnie aresztu* (w myśl wniosku prokuratora.)

11) *Pawlicka* na *9 miesięcy więzienia.* (Prokurator wniósł o 6 miesięcy).

12) *Sierakowski* na *9 miesięcy więzienia.* (Prokurator wiosł o 6 miesięcy).

13) *Katarzyna Żołnierkiewiczowa* na *9 miesięcy więzienia* (w myśl wniosku prokuratora).

14) *Józef Żołnierkiewicz tak samo.*

15) 15-letni *Aleksander Wiśniewski na 4 tygodnie aresztu* (w myśl wniosku prokuratora).

16) *Stachowiakowa* na *pół roku więzienia* (w myśl wniosku prokurara).

17) *Stachowski tak samo.*

18) 17-letni *Musielak* na *9 miesięcy więzienia,* z czego policzono 5 miesięcy na więzienie śledcze. (Prokurator wniosł tylko o pół roku więzienia i policzenie go za areszt śledczy).

19) *Jagodziński* na *2 miesiące więzienia* (w myśl wniosku prok.)

20) *Jezierska* na *4 tygod, więzienia* (tak samo).

Oskarżeni: *Szypulski, Maciejewski, Jarmuszkiewicz i Rydliński* zostali *uwolnieni.*

Skazanych *Balcerkiewicza* i *Chojnackiego natychmiast aresztowano* i po wyjściu z sali *nałożono im na ręce kajdanki.*

Uwaga: *Do niniejszego numeru „Pracy“ dołączamy przekaz pocztowy z usilną prośbą o łaskawe skorzystanie z tegoż przy nadsyłce składek na „fundusz wrzesiński“.*

„Praca.“

Właściciel i wydawca: M. Biedermann w Poznaniu. — Redaktor odpowiedz.: Jan Kamieński w Poznaniu. — Czcionkami Drukarni „PRACY“ (M. Biedermann) w Poznaniu, Rycerska 38
11 maszyn pospiesznych, pędzone siłą elektryczną; z urządzeniem introligatorskiem.